

Kamena

LUBLIN 28.IV.1968 Nr 9 (390) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

Na str. 6 i 7 informator dla kandydatów na wyższe uczelnie

Nasze dyskusje

NAUKOWCY I STUDENCI o strukturze uniwersytetów i wychowaniu moralno-politycznym

Ostatnie wydarzenia na Uniwersytecie Warszawskim i w innych ośrodkach akademickich kazały nam wszystkim spojrzeć bardziej wnikliwie na sprawy, które nazywamy wychowaniem młodzieży. Chodzi o te wszystkie uwarunkowania, które w sumie kształtują oblicze moralno-polityczne dorastającego pokolenia. Zagadnienie jest nie tylko skomplikowane, ale i bardzo szerokie, stąd pełna analiza jak i wyciągnięcie wszystkich możliwych wniosków będzie jeszcze wymagało i czasu i wiele przemyśleń.

Pragnąc przyczynić się do wyjaśnienia chociażby kilku spraw, redakcja „Kamena” współpracując z rozgłośnią lubelską Polskiego Radia, zorganizowała dyskusję z udziałem pracowników nauki Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej oraz studentów tej uczelni. Fragmenty tej dyskusji zostały odtworzone 18 kwietnia w programie rozgłośni lubelskiej, niżej publikujemy relację z całej dyskusji.

Udział w niej wzięli naukowcy: doc. dr Janusz Barciecki — kierownik Katedry Technologii Chemicznej, doc. dr Tadeusz Baszyński — dziekan Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, doc. dr Sędzimir Klimaszewski — kierownik Katedry Zoologii Systematycznej, dr Artur Korobowicz — adiunkt Wydziału Prawa, doc. dr Jarosław Ościk — dziekan Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego, mgr Antoni Pieniążek — st. asystent Wydziału Prawa, prof. dr Franciszek Uhorczak — kierownik Katedry Kartografii, oraz studenci: Włodzimierz Grzechnik — wiceprzewodniczący Zarządu Uczelnianego ZMS, Krystyna Leszczyńska — V rok biologii, Witold Mazurkiewicz — wiceprzewodniczący Rady Uczelnianej ZSP.

Rozgłośnię lubelską reprezentowała red. Danuta Bieniaszkiewicz, a redakcję „Kamena” red. Jerzy Dostatni oraz dr Zygmunt Mańkowski, adiunkt Katedry Historii Nowożytnej Polski.

Red. DOSTATNI — Zdajemy sobie sprawę, że temat jest bardzo szeroki i wcale nie taki prosty. Nie spodziewamy się pełnych wniosków, nie chcemy też, aby ustalić tu coś

w rodzaju dekalogu. Proponujemy ograniczenie się do dwóch zasadniczych tematów: struktura naszych wyższych uczelni w ogóle, a uniwersytetów w szczególności, oraz

działalność organizacji studenckich — w powiązaniu z pracą ideowo-wychowawczą nad młodzieżą. O konieczności przeprowadzenia wielu

(Dokończenie na str. 6)

Czy w Lublinie znajduje się część Kodeksu z Supraśla?

Pantalejmon Jurjew

W wyniku wielu rozmów Bobrowski przekazał supraślski rękopis do dyspozycji znakomitego slawisty Bartolomeusza Kopitara mieszkającego wówczas w Lublinie. Kopitar gorliwie zajął się skopiowaniem „Codexu”. Podjęte zostały nawet pierwsze kroki celem przekazania rękopisu do druku. Oryginał został zwrócony Bobrowskiemu, gdyż on już wracał do kraju.

Kopitar jednak zbyt długo zwlekał z opracowaniem komentarza i zmarł w roku 1844. Z tego też powodu rękopis doczekał się wydania drukiem dopiero w roku 1851, już po zgonie samego Bobrowskiego, w pamiętnym roku „Wiosny Ludów”. Oryginał rękopisu supraślskiego, znajdujący się dotychczas w zbiorach uczonego, z niewiadomych powodów został podzielony przez spadkobierców na części, co najmniej trzy.

Podzielony oryginał przeszedł w posiadanie kilku instytucji. Zbiory Bobrowskiego częściowo nabyto dla Biblioteki Ordynacji Zamojskich w Warszawie, a wraz z nimi biblioteka otrzymała większą część rękopisu supraślskiego, składającą się ze 151 kart. Znacznie mniejsza część powędrowała do Petersburga i obecnie znajduje się w bibliotece leningradzkiej im. Sałtykowa-Szczedrina. Trzecia część... właśnie o trzecią część nam w tym wypadku chodzi.

Otóż trzecia część „Codexu Suprasliensis” znajdowała się przed pierwszą wojną światową w Pol-

sce. Wspomina o niej wyraźnie rosyjska „Wielka Encyklopedia” S. Juzakowa, na której łamach świadczy profesor A. K. Borozdin: — „Pojąta rękopis przynależała przed wojną do Supraślskiego monasterium. Teper' odna część przynależała lublińskiej gimnazji, drugą bibliotekę im. Zamojskiego w Warszawie, trzecią imperatorskiej publicznej biblioteki w Sankt-Peterburge”.

Zgodnie z tą informacją trzecia część historycznego rękopisu znajdowała się, a może jeszcze i dzisiaj znajduje się w Lublinie! Czy nie warto by rozpocząć w tym kierunku odpowiednich poszukiwań?

Jest tylko jedno drobne „ale”. Czy A. K. Borozdin mówiąc o trzeciej części „CODEXU” nie pomylił się o... parę liter? Czy istotnie w danym wypadku mowa o LUBLINIE a nie o LUBLANIE, w której do dziś dnia przechowuje się kopia wykonana przez Kopitara? Tego rodzaju pomyłka nie wydaje się jednak prawdopodobną ze względu na autorytet naukowy prof. A. K. Borozdina. Stwierdza on wyraźnie:

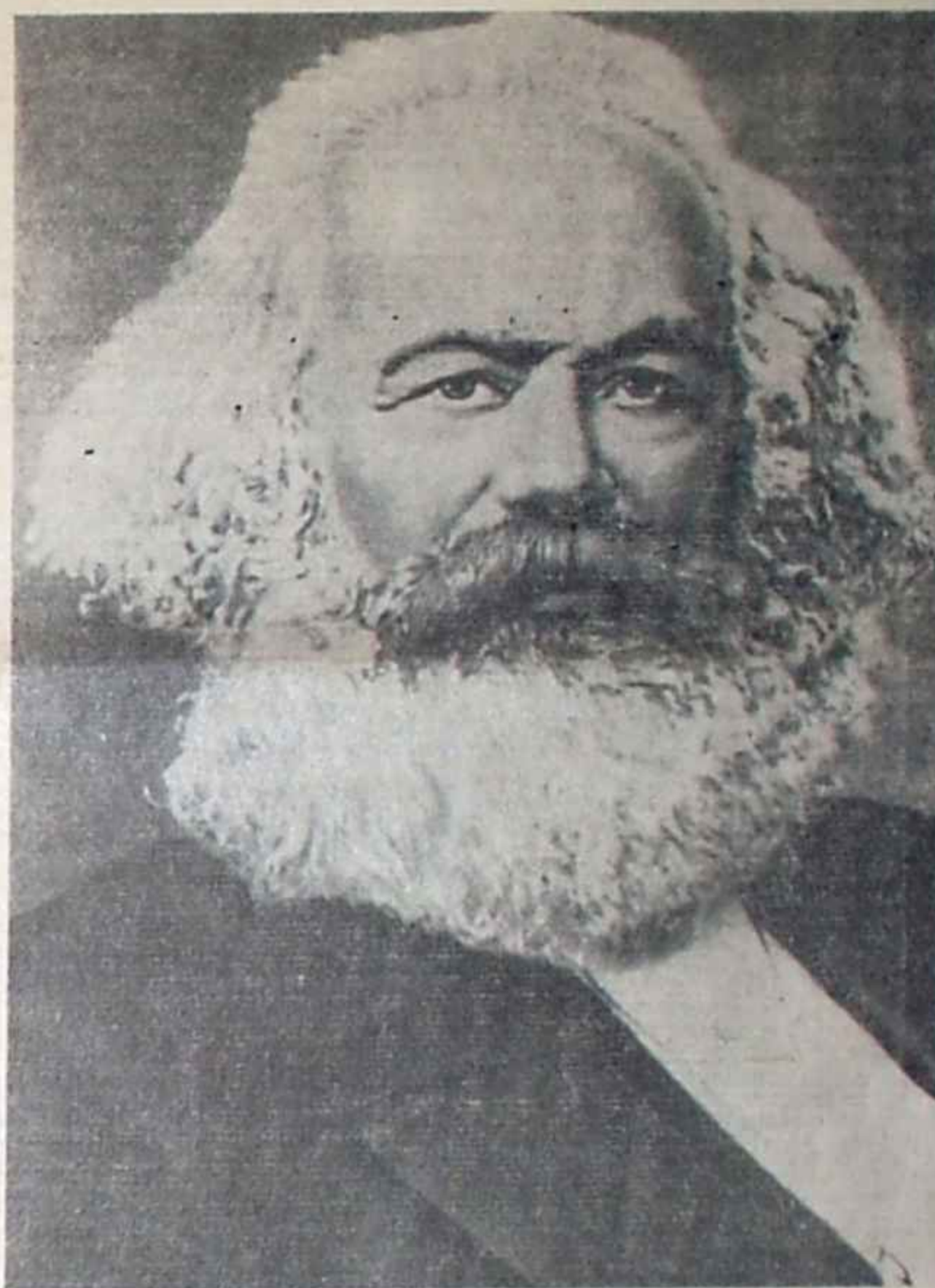
„Teraz jedna część należy do Gimnazjum LUBELSKIEGO”. Wierzę proponujemy poszukiwania w Lublinie!

OD REDAKCJI: Autorem tego rewelacyjnego artykułu jest literat rosyjski zamieszkały w Łodzi przy ul. Lipowej 1. Sądymy, że sprawa zainteresuje lubelskich naukowców i bibliofilów — łamy „Kamena” stoja dla nich otworem. O działającym Supraślu pisze Romuald Wiśniewski w reportażu na str. 8.

W 150-lecie urodzin

Marks ciągle nieprzekraczalny

Zdzisław Cackowski



LUDZKOŚĆ stała się niższą o jedną głowę, i to o najznakomitszą, jaką w obecnych czasach posiadała — te słowa Engelsa, wypowiedziane tuż po śmierci Karola Marksa, oddają chyba najdobitniej ogólnoludzką wartość jednostkowego życia twórcy „Manifestu Komunistycznego” i „Kapitału”.

Urodził się Marks 5 maja 1818 roku w nadreńskim mieście Trewirze. Któż mógł wtedy przewidzieć ogromną doniosłość społeczną człowieka, którego życie w tym dniu właśnie się rozpoczęło? A miało przecież ono przekroczyć zwykłe ramy życia jednostkowego, miało się stać doniosłym elementem życia ludzkości, a przy tym nie tylko w czasach Marksa i współczesnych, ale również w czasach znacznie późniejszych. Gdy dzisiaj, 150 lat od dnia urodzin Marksa, wspomniemy jego życie i dzieło, gdy konfrontujemy jego idee ze współczesnym nam kształtem życia społecznego, to bez żadnej przesady stwierdzić można obecność Marksa w wieku XX: jest on obecny w naszych czasach jak nikt inny z myślicieli nie tylko wieku XIX, ale całej przeszłości. A obecność tę dostrzegają wszyscy ci, którym nieobca jest tradycja myśli społecznej i którzy rozumieją dzisiejsze życie społeczne. Francuski wydawca „Panorama myśli współczesnej” Picon wymienia Marksa jako tego, kto najwyraźniej widział kształt naszej, dwudziestowiecznej epoki i którego idee są najwyraźniej obecne w naszym życiu społecznym. A

obecność ta podwójnie się manifestuje: z jednej strony ujawnia się ona w powszechnym wpływie idei Marksa na świadomość dzisiejszego świata, z drugiej zaś strony widoczna jest ona w praktycznym przeobrażaniu się życia społecznego, czego kraje budujące socjalizm są najwymowniejszym wyrazem.

Nic co ludzkie nie jest mi obce — oto jego dewiza życiowa, w prostocie upatrywał najwyższą cnotę człowieka, szczęście kojarzyło mu się z walką, nieszczęście — z kapitulacją, rezygnacją, świadomością niemocy ludzkiej. Był wielkim uczonym, ale źródła swej niezwykłej energii badawczej czerpał z głęboko odczuwanej potrzeby walki o sprawiedliwość społeczną, o takie warunki społecznego życia, w których nie będzie ucisku klasowego.

Dzieło myśli Marksa jest ogromne; w tak krótkim szkicu ani się waży można na jego przedstawianie. Wszelako główną ideę jego filozofii przypomnieć trzeba. Rewolucjonizującym dla wszystkich nauk historycznych było fundamentalne twierdzenie Marksa, głoszące, że sposób produkcji życia materialnego warunkuje społeczny, polityczny i duchowy proces życia w ogóle. Jeżeli chcemy więc zrozumieć dogłębnie kulturę jakiegokolwiek epoki wraz z jej wewnętrznymi konfliktami i walkami, życie polityczne społeczeństw wraz z jego konfliktami i walkami, to musimy zbadać i zrozumieć stosunki produkcyjne tej epoki, jej stosunki własnościowe.

(Ciąg dalszy na str. 3)

MARIAN
 SPYCHALSKI
 PRZEWODNICZĄCYM
 RADY PAŃSTWA



Na posiedzeniu w dniu 11 kwietnia Sejm wybrał jednomyślnie na Przewodniczącą Rady Państwa MARIANĄ SPYCHALSKĄ, członka Biura Politycznego KC PZPR, Marszałka Polski, dotychczasowego ministra Obrony Narodowej.

M. Spychalski jest synem robotnika, urodził się w Łodzi w 1906 r. W 1931 r. ukończył Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Najpierw działacz Związku Młodzieży Socjalistycznej „Zycie”, od 1931 r. — członek KPP. Pierwszy szef sztabu Gwardii Ludowej, potem szef Sztabu Generalnego WP, pierwszy prezydent Warszawy, minister Obrony Narodowej od 1956 r., w październiku 1963 r. mianowany Marszałkiem Polski.

Zmarli

W 5 kwietnia w Bielsku-Białej zmarła znana pisarka Zofia Kossak-Sztokowska, odznaczona m. in. Krzyżem Komandorskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Urodziła się 3 sierpnia 1886 r. w Kołomyjach w woj. lubelskim. Głównie miejsce w jej bogatej twórczości zajęły powieści historyczne — z wypraw krzyżowych („Krzyżowcy”, „Król treflowy” i „Bez oręża”) oraz z historii Polski („Wielcy i mali”, „Z dziejów Słaska”, „Legnickie pole”, „Złota wolność” i in.). Pisała też utwory dla dzieci i młodzieży.

Literatura

Polska literatura klasyczna w tegorocznym planie wydawniczym obejmuje ponad 60 pozycji. Wśród tytułów, które po raz pierwszy trafiają do rąk czytelników, znajduje się m. in. „Stare polska bajka ludowa” — pierwszy tom cyklu zbiorów bajek ludowych, wydobytych z piśmiennictwa staropolskiego. W okresie Oświecenia otrzymamy „Diariusz z podróży” — wybór z dziennika podróży po Włoszech i Francji A. Mozyskiego, architekta, znawcy sztuki i kolekcjonera, doradcy Stanisława Augusta. Ukazie się też wznowienie „Monachomachii” Ignacego Krasickiego. Blisko 40 pozycji w tegorocznym planie obejmuje polska literatura okresu Romantyzmu.

Jury X konkursu wydawców za najlepszą wydaną książkę w 1967 r. uznało „Duszę Boga Re” Tadeusza Andrzejewskiego. Wydawcą jest PWN.

W Domu Literatury w Warszawie odbył się wieczór jubileuszowy Jadwigi Białakowskiej, znanej tłumaczki z literatury czeskiej i słowackiej. W ciągu 40 lat przełożyła ona 53 pozycje, zresztą także z innych języków. Jubilatka została udekorowana Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Wybór wierszy Jerzego Harasymowicza wydany został w przekładzie na język słowacki. Tłumaczami utworów polskiego poety są Ivan Mojik i Józef Xvič, wydawcą — Slovenský Spisovateľ.

W Moskwie ukazał się piąty, ostatni tom dzieła pt. „Leniniana”, napisanego przez literaturę radzieckich. Są to szkice poświęcone najbliższymi współpracownikom Lenina.

W ZSRR ukazał się dziewiąty tom dzieł Iwana Bunina, który po Rewolucji Październikowej wyjechał do Francji, gdzie zmarł. W okresie międzywojennym otrzymał on nagrodę Nobla. Krytycy radzieccy uznają wartości artystyczne jego twórczości, ale krytykują koncepcje społeczne i polityczne Bunina.

Francuskie wydawnictwo Julliarda opublikowało pierwszą w tym języku powieść autora północnowietnamskiego Nguyen Dinh Thi. Tytuł: „Front na niebie”.

Jeden z tłumaczy francuskich został skazany przez tamtejszy sąd na tysiąc franków grzywny za niedokładne tłumaczenie dzieł pisarza radzieckiego A. Kuźniecowa, opuszczanie pewnych zdań i dopisywanie innych. Sąd uznał, że wprawdzie ZSRR nie podpisał konwencji autorskiej, ale takie praktyki w każdym wypadku są niedopuszczalne.

We Francji jest ok. 40 tys. osób „parających się” — jak byśmy powiedzieli — piórem. Natomiast do Stowarzyszenia Literatów (Société des gens de lettres) należy tylko 2629 osób, zaś do zrzeszenia autorów radia — 3 tys. Ale nawet spośród owej znacznej, 40-tysięcznej rzeszy nie wszyscy są pisarzami zawodowymi. Komisja zawodowa przy ministerstwie pracy zalicza do kategorii pisarzy zawodowych tylko te osoby, które mogą wykazać, że co najmniej 51 proc. ich dochodów pochodzi z zajęć piśmienniczych. Takich osób jest w całej Francji zaledwie 350!

Teatr

„Początek widowisk, teatru antycznego, komedii średniowiecznej i renesansu” — to tytuł pierwszego tomu „Historii powszechnej teatru”, którą wyda w pięciu tomach w formie kieszonkowym francuskie wydawnictwo „Marabout-Universitas”.

Muzeum Teatralne istniejące przy Teatrze Wielkim w Warszawie wysłało do Mediolanu wystawę polskiego plakatu, na którą składa się ok. 60 plakatów teatrów operowych i dramatycznych. Wystawa, która będzie eksponowana w księgarni przy teatrze „La Scala”, zapoczątkuje stałą wymianę wystaw między warszawskim Muzeum Teatralnym a Muzeum Teatralnym „La Scala”.

W teatrze miejskim we Frankfurcie n. Menem odbyła się premiery najnowszego sztuki Petera Weissa „Dyskurs wietnamski” (pełny tytuł sztuki brzmi: „Dyskurs o prahistorii i przebiegu długotrwałej wojny wietnamskiej w Wietnamie, świadczącej o konieczności zbrojnej walki uciśnionych przeciwko ich ciemiężcy, jak również o czynnościach przez Stany Zjednoczone próbnych unicestwienia podłoża rewolucji”). Weiss z naciskiem stwierdził, że „Dyskurs wietnamski” nie pozostawia żadnych wątpliwości co do tego, po czyjej stronie stoi autor.

Sztuka

Nikifor i Ociepka mają następcę i konkurenta. Nazywa się Teodor Centilewski, ma 75 lat, jest szewcem w miasteczku Wąbrzeźno na Pomorzu, a zaczął rysować dziesięć lat temu. Uznaje tylko kredki. Odkryto go stosunkowo niedawno, a to dzięki temu, że zaczął wystawiać swoje obrazy w oknie szewskiego warszawczaka. Zdobył tą drogą wielkie uznanie. Miał już własną wystawę w bydgoskim klubie „Jupiter”, przyjętą pozytywnie przez krytyków.

Pisaliśmy już, że dzieci ze szkoły podstawowej nr 2 w Sopocie przygotowały prace malarskie na wystawę podczas olimpiady w Meksyku. Jak się okazało w wyniku ogólnopolskiego przeglądu 550 prac nadesłanych z całego kraju, uczniowie z Sopotu zajęli kolejno 10 pierwszych miejsc.

W Tunisie otwarta została wystawa współczesnej grafiki polskiej. Na wystawie eksponowano ok. 100 prac 30 artystów polskich, m. in. Ewy Sliwińskiej, Edmunda Piotrowskiego, Władysława Łama, Mieczysława Majewskiego, Leszka Kozł.

Ponad 100 fotografii obejmuje otwarta w stolicy Gwinea — Konaery wystawa pn. „Polska w fotografii”. Wszystkie eksponaty nadesłał Związek Polskich Artystów Fotografików.

Muzyka

W Filharmonii Narodowej odbył się uroczysty koncert z okazji 25-lecia pracy artystycznej niewidomego śpiewaka Ryszarda Gruszczyńskiego. Dorobek artystyczny jubilata wynosi ponad 19 tysięcy koncertów.

„Polska współczesna kultura muzyczna 1944-1964” — to tytuł cennej powieści, która ukazała się nakładem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego pod redakcją Elżbiety Dziębowskiej, staraniem Zakładu Historii i Teorii Muzyki Instytutu Sztuki PAN. Blisko 500-stronicowe dzieło jest pierwszą próbą przedstawienia podstawowych zagadnień kultury muzycznej w okresie 20-lecia Polski Ludowej.

Bolesław Szabelski pracuje nad płytą z kolekcją symfonia na chór, orkiestrę symfoniczną i organy. Chór śpiewa wokalizy, a muzyka oparta jest na technice dodekafonicznej. W planach twórczych kompozytora jest kantata do tekstu jednego ze współczesnych poetów polskich.

Olśnaw Woytowicz pracuje nad dużym utworem chóralnym a capella o bardzo skomplikowanej fakturze. Będzie to 3-częściowa kompozycja, wyszukująca wszelkie struktury chóralne w zakresie głosek męskich, żeńskich i chłopców. Układ pracy nad dwiema miniaturami na skrypcy i fortepian.

Wielkopolski Związek Śpiewaczy, zrzeszający ponad 110 chórów i zespołów instrumentalnych, obchodził 25-lecie istnienia. W związku z tym sztandar Związku został udekorowany Złotym Krzyżem Zasługi.

Przewodniczący norweskiego stowarzyszenia „Ny Musik” („Nowa Muzyka”) Kjell Skjellstad oświadczył: „Pragniemy w 1968 r. kontynuować dobre kontakty ze środowiskami muzycznymi krajów Europy Wschodniej. Wiosenne festiwale muzyki współczesnej stworzyły możliwości szerokiego prezentowania niezwykle bogatej i interesującej muzyki współczesnej Polski”.

Z okazji 70-lecia urodzin znakomitego śpiewaka i bojownika ruchu pokójku Paula Robesona odbył się w berlińskiej operze wielki koncert z udziałem artystów niemieckich i zagranicznych. Ukazała się też płyta z wyborem pieśni Robesona.

Różne

Archeolodzy radzieccy odnaleźli na Białorusi figury szachowe, pochodzące z okresu wczesnego średniowiecza. We wsi Grodno i w Wolkowsku natrafiono na wieże szachowe, a w okolicy tego miasta — na pionka o wyglądzie dobosza. Trzecia z kolei wieża, prawdopodobnie z XIII w., przyniosła wykopaliska z Witebska. Dalsze cztery figury, zapewne także z tego stulecia, odkryto w Połocku.

Student literatury uniwersytetu w Belgradzie Ratimir Damjanovic dał recital poezji od czasów najdawniejszych do współczesnych. W ciągu 24 godzin zaprezentował 444 wiersze, odpowiadając tylko po kilka minut, gdy występował zespół gitarzystów. Sala niemal przez cały czas była pełna.

Na festiwalu piosenkarstwa Euro-wizji w Londynie Hiszpanie miał reprezentować Juan Manuel Serrat. Gdy władze dowiedziały się, że zamierza on śpiewać piosenkę w języku katalońskim, wysłano piosenkarce Massiel.

Jeden z najpopularniejszych aktorów zachodniemieckich Wolfgang Kieling, odwórcą wielu znakomitych ról na scenach teatralnych NRF, w filmach i w telewizji (znany również polskim miłośnikom filmu), zdecydował się opuścić Niemcy zachodnie i przenieść się do Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Na zamku Książ Pomorskich w Szczecinie odkryto wal obronny pochodzący z VIII w. Przesuwa to początki osadnictwa na Wzgórzu Zamkowym o 100 lat. Szczątki wału ziemnego oraz fragmenty spalonych konstrukcji drewnianych odsłoniła woda, która podczas roztopów podmyła ściany wykopu.

W Grenadzie u stóp Alhambrzy zostanie postawiony pomnik Fedrica Garcia Lorci. Wszystkie koszty poniosą przyjaciele zamordowanego poety.

W Stanach Zjednoczonych ukazała się interesująca praca dziennikarki Alice Hackett pt. „70 lat bestsellerów”. Jest to omówienie największych sukcesów na rynku księgarskim w USA w latach 1895-1963. Książka, która pobita wszelkie rekordy powodzenia (20 mln nakładów), jest poradnikiem dr. Spocka o wychowaniu dziecka. Drugie miejsce zajmuje książka kucharska, następnie atlas geograficzny. W dziedzinie powieści największym powodzeniem cieszy się „Peyton Place” Grace Metalious (ok. 10 mln egz.), następnie „Poletko Pana Boga” Caldwell (8 mln egz.) i „Przemienie z wiatrem” Margaret Mitchell (ok. 7 mln egz.).

Film

Na festiwalu filmowym w Cannes, który rozpoczyna się 10 maja, Polska wysłała „Żywy Mateusz”.

Premiera filmu „Światłostaw Richtera” zgrupowała w kinie „Moskwa” w stolicy ZSRR wielu widzów, którzy — jak stwierdza na łamach „Sowieckiej Kultury” M. Bialik — z niecierpliwością oczekiwali spotkania z ulubionym artystą, tym razem na srebrnym ekranie. Radość z bliskiego spotkania naślę jednak niepokój — czy film nie okaże się nieudany? Na szczęście obawy szybko się rozwiały.

Greta Garbo wciąż nie traci popularności. Fryzjerzy paryscy lansują ostatnio włoszenie uczesanie pod nazwą „Boska” Garbo 68”.

Virna Lisi po roku wyjętej pracy wyjechała na urlop do Kenii, gdzie zamierza polować na dzikiego zwierza. Ale na wszelki wypadek pojechała z meżem.

Spencer Tracy w ostatnim przed śmiercią wywiadzie gratuluje sam siebie, że nigdy nie grał gangsterów i w ten sposób nie przyczynił się do demoralizacji młodego pokolenia. Oczywiście nie zawsze byłem na ekranie idealnym człowiekiem, ale to już inna sprawa.

James Mason na przyjęciu z okazji premiery „Balu wampirów” przybył z własną zakąską. Nie byłym pewien, czy podane kielbasy nie będą z ciała i krwi ludzi — powiedział. Prasa brytyjska podkreśliła, że Mason ma duże poczucie humoru.

Notes „Kamery”

Józef Barecki

Antypolska kampania

Najpierw z nadzieją oczekiwali na dzień X. Wkładali cały swój wysiłek w jego przygotowanie, przeczuciali ponad granicami kłamstwa, pragnąc rozmiękczyć świadomość narodu polskiego i uczynić go podatnym na ich działania.

Kiedy z trybuny nadzwyczajnego walnego zebrania Warszawskiego Oddziału ZLP rozpoczął się otwarty atak przeciwko władzy ludowej, i kiedy potem na ulice Warszawy wyszły zbalamuceni przez komandosów z klubu „Babel” studenci Uniwersytetu Warszawskiego, w ich sztabach wszczął się gorączkowy ruch. Zachłysłeni się z radości. Na pomoc tym, którzy wystąpili przeciw Polsce, lub dał się wplątać w wicherzyliście poczynania, rzucili wszystkie swoje odwody. Na falach eteru płynęły słowa zachęty, zapewnienia o solidarności całego świata. Wczoraj wrogowie socjalizmu, którzy wymawiali to słowo z obrzydzeniem, zaczęli używać go jako swego sztandaru. „Wolna Europa” odmieniała to słowo na wszystkie sposoby, podlegając pod jego osłoną do walki z Polską.

Szybko okazało się, że garstka bankrutów jest izolowana w społeczeństwie. Kraj odciął się od wicherzyli i potępił próby podważania spójności narodu. Wtedy ujawniło się ich prawdziwe oblicze. W ciągu jednego dnia podniosła się w świecie fala oszczerstw antypolskich, wrogie ośrodki masowego przekazu wszczęły kampanie, jakiej nie było w historii. Na oczach tych, którzy od początku znali treść brudnej gry, poczęto krzyżować Polskę za nie popełnione zbrodnie, obrzucać błotem za nie popełnione przestępstwa.

Powstał sojusz sił, które połączyła nienawiść do Polski i socjalizmu. „Wolna Europa” sprzymierzyła się z zachodniemiecką prasą i izraelskim syjonistami. Ramieniem w ramie stanęli wczorajsi oprawcy i ich ofiary, których połączył dzisiaj antykomunizm, antypolskość i zwykły byznes.

Szczególną wrzawę wznieśli w świecie syjonistyczne kółka, potężne organizacje, które opanowały setki redakcji, radiostacji i stacji telewizyjnych, mogą bezkarnie urabiać opinię publiczną we wszystkich praktycznie krajach Zachodu. Ich cel jest prosty. Kiedy zdemaskowana została antypolska działalność syjonistyczna, a co za tym idzie, wyciągnięte zostały konsekwencje personalne i podjęte kroki, które zabezpieczą interes Polski i tajemnicę polską przed wścibskim okiem wroga, czy prywatą urzędnika z nazwy tylko polskiego, kółka syjonistyczne chwyciły się środka, jakiego zawsze w takich wypadkach używali ludzie nie mający czystych rąk. Rozpoczęli atak, który zarzucając nam zbrodnie antysemityzmu, miał za zadanie podważyć słuszność i zasadność naszych porządków, naszej stanowczości i naszego odcięcia się od wicherzyli.

Niedawno odbyło się posiedzenie izraelskiego parlamentu. Przejdzie ono zapewne do historii tych wydarzeń w życiu poszczególnych krajów, które wyciskają na ich autorach piętno hańby i wstydu.

Posłuchajmy, jak mówią o Polsce ci, którzy winni jej dożgonną wdzięczność.

Pos. Szostak przedstawia niepokojącą kwestię: trudno zrozumieć jak w ogóle mogą jeszcze bracia stąpać po nieczystej ziemi polskiej. Posł Szostak, jako pochodzący z Polski, mógł zaświadczyć o kraju, z którego pochodził: kraj klasycznego antysemityzmu...

I oto teraz reżim ten pozbywa się również jednego z ostatnich Żydów, który zajmował poważne stanowisko — Zambrowskiego... Również poseł Cymerman pochodzi z Polski i dlatego poddał analizie socjologiczne przyczyny polskiego antysemityzmu, które przybierają obecnie charakterystyczne objawy najbardziej mrocznych okresów naszej historii...

Dwaj „specjaliści” od spraw „klasycznego polskiego” antysemityzmu i „nieczystej ziemi polskiej” — dawni polscy obywatele znaleźli szerokie pole do popisu. Wśród oklasków izby piwali na naród polski oskarżając go o nie popełnione winy i nie istniejące przywary.

Tylko nieliczne jednostki w narodzie polskim wstrzymały się od pomagania okupantowi faszystowskiemu przy realizacji jego szatańskiego dzieła — powiedział minister Begin. — Gdyby Polacy zachowali się tak jak szlachetni Duńczycy, uratowaliby setki tysięcy Żydów, ale współpracowali we wszystkim. Naród polski powinien pamiętać o każdym dniu swej działalności i bierności w okresie zagłady...

Tego nie można czytać. To już nie są słowa, to jest, używając języka członków izraelskiego parlamentu — smród. Smród jaki rozciąca każde oszczerstwo, każda kalumnia, każda potwara.

I jeszcze jeden przykład z tego morza błota. Ukazujący się w Paryżu dwutygodnik „La tribune juive”, którego dyrektorem jest rabin J. Grunewald, przyniósł w numerze kwietniowym następującą „ocenę” wydarzeń w Polsce:

„Ataki przeciwko drobnej społeczności żydowskiej w Polsce przypominały, że Oświęcim mógł istnieć bez względu na ustroj tylko w kraju, którego cała ludność żywiła większą nienawiść do Żydów niż do obcych okupantów kim by oni nie byli. Czyż trzeba przypominać, że nieszczęśliwi uciekinierzy z gett i faszystowskich obozów śmierci byli najczęściej ignorowani przez mieszkańców tego kraju, jeśli nie wydawani w ręce katów przez ukraińskich i polskich partyzantów?”

Czytając te kłamstwa nie chce się wierzyć, że znaleźli się ludzie, zdolni zniewazyć pamięć o tych, którzy z narażeniem własnego życia ratowali Żydów przed śmiercią (odsyłamy do materiałów na str. 4 Red.).

Ta obrzydliwa kampania ma jednak ograniczone możliwości. U nas, w kraju, nie ma już warunków na to, aby zarzutem antysemityzmu osłonić działalność antypolską. Walka z syjonizmem nie oznacza antysemityzmu. Partia nasza, nasza władza, nasze społeczeństwo są w jednakowym stopniu przeciwnie syjonizmowi, jak i antysemityzmowi, zjawiskom wstecznym, będącym dwoma stronami tego samego medalu: nacjonalizmu i szowinizmu.

Kampania ta nie jest jednocześnie w stanie podważyć autorytetu Polski w świecie. Ugruntowaliśmy go sobie postawą i naszą pracą, naszą działalnością i naszym wkładem w rozwój współczesnego świata. Opinia światowa zna prawdę o postawie narodu polskiego wobec Żydów, byliśmy zawsze, w przeszłości i dziś, wierni hasłu „za naszą i waszą wolność”. Wrzawa syjonistyczna nie świadczy o nas. Świadczy ona przeciwko jej autorom, wystawia świadectwo zgłębienia moralnej przywódcoży syjonizmu i ich popleczników, zwłaszcza „Wolnej Europy”, która popiera każdego, kto wystąpi przeciwko narodowi polskiemu.

Obwieszczenie

„Każdy Ukraińiec lub Polak, który usiłuje przez jakiegokolwiek postępowanie przeszkodzić akcji wysiedlenia Żydów, zostanie rozstrzelany... Każdy Ukraińiec lub Polak, który usiłuje jakiegokolwiek ukryć lub mu w tym pomóc, zostanie rozstrzelany.

(Z obwieszczenia władz niemieckich z 27 lipca 1942 roku).

Wyroki

28 grudnia 1942 roku we wsi Majdan Nowy gr. Sól w powiecie bilgorajskim okupant rozstrzelał 7 Polaków i spalił 10 zabudowań za udzielenie pomocy i przechowywanie kilku Żydów. Zbrodnia ta wstrząsnęła całą okolicą.

(Hitlerowski terror na wsi polskiej 1939—1944 pod red. Cz. Madajczyka, s. 73).

Przywieźli mi wczoraj ciężko ranego chłopca z Gruski Zaporiskiej. Przechowywał on u siebie w obozie 6 Żydów z Radeckiej. Gdy zjawiała się policja, zaczął uciekać i wówczas został postrzelony. Dziś w nocy umarł. Zandarmeria nie pozwoliła wydać rodzinie zwłok i poleciła magistratowi pochować go jako bandytę.

(Z dziennika dr Z. Klukowskiego).

Zdumiewająca bierność

Nawiasem mówiąc lubilem rozmawiać ze znajomymi inteligentnymi Żydami. Zawsze zastanawiała mnie ich bierność i rezygnacja. Mieli przed sobą jedyny tylko cel: za wszelką cenę przetrwać... Z rozmów tych wniosioskowałem, że nie myślą oni o żadnej organizacji ani samoobronie. A przecież mieli pośród siebie sporo inteligencji i młodzieży, która służyła w wojsku nawet w rangach oficerskich. Nie brakowało też im pieniędzy na zakup broni. Nigdy nie próbowali wykorzystać dobrych warunków terenowych do ucieczki i do zawiązywania oddziałów partyzanckich.

(Stanisław Bohdanowicz, Likwidacja Żydów w Zwierzycu. Zamojszczyzna w walce z Niemcami 1939—1944, t. II, s. 80—81)

NA RATUNEK

Rok 1942... Listopadowa szaruga jak gdyby pomagała partyzantom GL w realizacji ich zamierzeń. Uzbrojeni ludzie nie potrzebowali przemykać się chyłkiem do chałupy gdzie był dowódca (Grzegorz Korczyński). Tym razem chodziło o rozbiście obozu hitlerowskiego w Janiszowie. Kilku set Żydów, żyjących pod nieustanną groźbą śmierci, oczekiwało ratunku od partyzantów. Wysłannicy uwięzionych, dwaj uciekinierzy, „Janek” i Szlojmele, określili szczegółowo, może po raz piąty, położenie obozu, podejście i rozstawienie posterunków.

Akcję na Janiszów należało przeprowadzić jak najszybciej, bo — jak informowali zbiedzcy — kat Peter Ignor, komendant obozu, zamierzał wysłać wszystkich w tych dniach do Majdanka. Nie można było zwlekać. Noc dzisiejsza miała zadecydować, czy ci z obozu będą żyć, czy zginą...

Noc taka czarna, jak doła janiszowskich Żydów. Przewodnicy z trudem ustalały, że paręset metrów dalej są już pierwsze obozowe druty... Janek, Szlojmele, Koszelew, „Stasiek”, Gronczewski i dowódca posuwają się ostrożnie w kierunku drutów ogrodzenia... Nadchodzi strażnik. Partyzanci odruchowo mocniej ścisną broń... I nagle gwałtowne odprężenie: zimne lufy „Mausera” i „Visa” lgną do głowy hitlerowskiego sługusa... Chce żyć. Ochłonął z pierwszego przerażenia... Podaje dokładne dane o innych posterunkach... Posłusznie wykonuje rozkaz. Kilkanaście metrów dalej napotyka idącego w ich stronę strażnika... Obaj terroryzowani i zastraszeni, nie ociągając się, poprowadzili kościuszkowców do trzeciego stróża ładu niemieckiego... Na rozkaz dowódcy ryży pomalutku, ostrożnie otwierają drzwi... to on... na tapczanie leży Peter Ignor. Spi w swetrze, bryczesach i skarpetkach. Szybko znika leżące na krześle tuż przy tapczanie „parabellum”. W pokoju rozlega się głośnie: Aufstehen... Zrywa się jak zranione zwierzę...

Dowódca rozkazuje oddać klucze do baraków... Już pędzi z „Edkiem” uwolnić ludzi... Ignor był dobrym strzelcem. Na porannym apelu nieraz po dwugodzinym wystawianiu więźniów w postawie zasadniczej bez względu na pogodę Peter wybierał parę „fizjonomii”. Wybrany ofiarom rozkazywał uciekać i wtedy strzelał do nich. Kogo nie uśmierciła kula na miejscu, „kapo” dobijał trzcinową pałką, zakończoną ołowianą kulą... „Stasiek” chwycił za pejsz i smaga nim kata... ten zaczął płakać i usprawiedliwiać się... Wbiega „Edek” i melduje, że na placu niesłychany bałagan. Większość uwolnionych uważa, że wojna skończona. Znalazszy nie rozłożone jeszcze dwa wozy chleba, rzucili się na nie, aby zaspokoić głód. Wielu z nich wije się w boleściach. Dowódca wszedł na plac i wyjaśnił wyneźdźniałym, wymizerowanym ludzkiem cieniem, że każdy otrzyma dostateczną ilość prowiantów, ubranie i obuwie, ale że wojna się nie skończyła, że czeka ich walka.

Podczas konfrontacji z uwolnionymi Ignor przyznał się do rozstrzelania, wieszania i tortur. W parokrotnych strachu pada na kolana i chce całować partyzantów po rękach, a nawet i butach.

Nagle strzały. Zrazu pojedyncze, potem dwie krótkie serie z kaemów. Niebawem wraca zziębnięty Witia i melduje, że Niemcy podjeżdżają pod obóz samochodami. Sytuacja się wyjaśnia. Niemcy stoją i strzelają na „wabika”, prowokując partyzantów do otwarcia ognia, aby zorientować się, ilu ich jest. Nie odważyli się tej nocy wejść na teren obozu.

Uwolnionym wydano z magazynu żywność, odzież i obuwie. Podzielono ich na grupy. Wyznaczono dowódców i przewodników. Pomaszerowali w lasy lipskie, janowskie, bilgorajskie, gościeradowskie i w kierunku Ludmiłówki. Petera Ignora zastrzelono.

(Ze wspomnień dowódcy oddziału GL im. T. Kościuszki Grzegorza Korczyńskiego)

„Trybuna Chłopska”

„Ludność polska, także i chłopcy po wsiach, muszą nieść pomoc uciekającym Żydom, muszą ich ukrywać i zapatrywać w żywność... Stawiający opór Żydzii walczą także o życie ludności polskiej, bo dezorganizują i osłabiają potworną machinę mordowania”.
(Z konspiracyjnego organu PPR „Trybuna Chłopska” z sierpnia 1942 r. kolportowanego masowo na Lubelszczyźnie).

Apel do aliantów

Od szeregu tygodni jesteśmy świadkami masowych egzekucji. Codziennie, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu mordowani są ludzie rodzinami lub partiami, oddzielnie kobiety, oddzielnie mężczyźni, oddzielnie dzieci. Warszawa, Lwów, Kraków, Lublin, Przemysł, Przeworsk, setki małych miast, setki wsi. Nazywa się to likwidowaniem elementu żydowskiego. My jednak wolamy: mordują ludzi!

Codziennie z Warszawy wywożą do 10 000, codziennie z innych miast wywożą setki i tysiące — do Bełżca, Sobiboru, Trebłinki, do Pełki.

Codziennie te tysiące wytrwane są gazami, oparami lasującego się wapna w zamkniętych wagonach towarowych, zabijane kulami karabinów maszynowych, półżywe pogrzebane lub przerabiane na chemikalia w podziemnych fabrykach.

Codziennie całe rodziny popełniają samobójstwa, matki wyskakują z małymi dziećmi z wysokich pięter domów, dzieci dostają obłądki, uciekają. Na ulicach getta żołdacy niemieccy, lotewscy, litewscy i ukraińscy strzelają do nich jak do kaczek.

W Lublinie siepacze pruscy zrzucają przez okna z wysokich pięter dzieci na bruk.

W małych miastach, przed oknami naszych mieszkań, ciągną całe korowody pieszych i wozów z Żydami więzionymi na śmierć. Mileczeni tych orszaków śmierci towarzyszy świst bykowców gestapo... Kontyngent Żydów jest na wykończeniu. Rozpasana bestia rozgląda się za nowymi ofiarami...

Patrzmy na to ciągle. Dzień za dniem. Slepą nam oczy od wypatrywania wieści od was.

Nie wierzymy uszom. Dlaczego tak cicho? Przecież są na świecie bomby polskie, angielskie, amerykańskie.

Dlaczego milczycie?
(Memoriał Ruchu Ludowego do aliantów zachodnich zamieszczony w piśmie konspiracyjnym „Żywa” w sierpniu 1942 roku i kolportowany na Lubelszczyźnie).

Zabawy Herrenvolku

Mieszkając na ul. Zamojskiej w Lublinie, mieliśmy zajętą kamienicę od frontu przez lotników. Pewnego dnia Niemcy urządzili sobie zabawę. Całą noc słyszeliśmy krzyki i strzały, a rannymi oglądaliśmy zabita Żydówkę, naga, wyrzuconą z trzeciego piętra, a reszta Żydówek pomordowanych w bestialski sposób leżała na gorze w jednym pokoju. Okazało się, że całą noc je gwałtili, a nad ranem pomordowali...

(Z zeznań Jana Łotockiego).
Przy końcu września 1939 roku w Hrubieszowie członki wojska niemieckiego (Wehrmacht) rozstrzelali na ulicy Lubelskiej jednego nieznanego Żyda. Motyw zbrodni: „za niedźwiecie przed nimi czapki!”

(Sz. Datner, 55 dni Wehrmachtu w Polsce, s. 487).
Lecz widocznie Niemcom nie wystarczyło systematyczne znęcanie się nad Żydami i odbieranie im za wszelkiej własności. Od czasu do czasu urządzali jakąś specjalną „zabawę”. Tak np. któregoś dnia jakiś przedchodzący oddział SS zatrzymał się na krótko w Zwierzycu. Żołnierze kazali Żydom ponosić na środku rynku wszystkie księgi żydowskie z biblioteki i z mieszkań prywatnych niezależnie od treści, były tylko były drukowane w języku hebrajskim. Kazali Żydom włożyć na siebie śmiertelne koszule, pozakładać na czoła pudełka z dziesięciogromnymi przykazaniami bożymi, ręce zaś pobijać rzymskimi rytuałami i w tych modlitewnych szatach tańczyć wokół ogniska, na którym paliły się rzucone na stos księgi żydowskie o bardzo dużej wartości materialnej.

(St. Bohdanowicz, Likwidacja Żydów w Zwierzycu).

Z czego żyje NRF?

Z „Tymczasowego sprawozdania końcowego kasy „operacji Reinhard” Lublin na dzień 15 grudnia 1943 roku”.

236 sztab złota	— 2.909,65 kg
2143 sztaby srebra	— 15.723,09 kg
platyna	— 15,44 kg

BANKNOTY

dolary USA	— 1.081.321,40
funtki angielskie	— 15.948,11
franki francuskie	— 1.468.406,25
franki szwajcarskie	— 119.202,33

DEWIZY W ZŁOCIE

dolary USA	— 249.771,50
funtki	— 428,50
ruble	— 150.033,00
korony	— 72.230,00
franki	— 33.875,00
marki	— 28.485,00

KOSZTOWNOŚCI

13.883 pierścienie złote z brylantami i diamentami	
9.019 zegarków damskich złotych na rękę	
3.651 zegarków męskich złotych klasycznych	
333 bransolety złote z brylantami i diamentami	
1.716 par kolczyków złotych z brylantami i diamentami	
2.497 broszek złotych z brylantami i diamentami	
130 pojedynczych dużych brylantów	
2.311,37 karatów brylantów mniejszych	
13.458,62 karatów diamentów mniejszych	
291 szpilek z brylantami	
272 zegarki damskie platynowe z brylantami	
27 naramienników z brylantami i diamentami	
114,20 kg pereł	
60.125 zegarków różnego rodzaju	
102.614 zegarków wymagających naprawy	
29.291 par okularów	
350 maszynek do golenta	

MATERIAŁY WŁÓKIENNICZE

1901 wagonów z odzieżą, bielizną, pierzem i szmatami	
--	--

(Sprawozdanie to podpisał Odilo Globocnik, dowódca SS i policji dystryktu lubelskiego i jednocześnie szef tzw. operacji Reinhard, której celem była zagłada i rabunek majątku Żydów w Generalnej Guberni. Wymienione sumy i przedmioty zrabowane w tej akcji wpłynęły do skarbku III Rzeszy).

Kolumnę zredagował
Zygmunt Mańkowski

Wkraczający w 1939 r. na ziemie polskie okupant niósł ze sobą dalekosiężne plany biologicznej zagłady narodu polskiego i Żydów — obywateli polskich.

Żyć w pierwszych miesiącach okupacji, realizując te założenia brutalnie uderzył on w szerokie kręgi społeczne Polaków, dokonał setek egzekucji, aresztowań, rozpoczął masowe wysiedlenia Polaków i Żydów z ziem przyłączonych do Rzeszy, a w tzw. akcji „AB”, skierowanej przeciwko „czolowym elementom narodu polskiego”, zlikwidował tysiące przedstawicieli polskiej inteligencji, działaczy społeczno-politycznych, duchowieństwa itp.

Lubelszczyzna odgrywała w zbrodniczych i eksterminacyjnych planach hitlerowskich szczególną rolę. Na przełomie lat 1939—40 teren województwa postanowili Niemcy przeznaczyć na „rezerwat osiedleńczy” dla milionów Żydów europejskich. Koncepcja ta wiązała się z planami podjęcia olbrzymich prac nad zbudowaniem pasa fortyfikacji na granicy ze Związkiem Radzieckim oraz, jak stwierdzali Niemcy, istnieniem na Lubelszczyźnie terenów „bagnistych”, dogodnych dla wyniszczenia biologicznego ludzi. Koncepcja ta wiązała się w sposób oczywisty z projektowanym usunięciem zamieszkałych między Wisłą a Bugiem Polaków.

W 1941 r. po odstąpieniu od tej koncepcji ziemie lubelskie przeznaczone zostały przez hitlerowców na „I okręg nasiedleńczy dla Niemców”. Rozpoczęta w listopadzie 1942 r. na Zamojszczyźnie akcja wysiedleńcza zagrożiła całkowitą biologiczną zagładą zamieszkałej tam ludności polskiej. W orbitę tej akcji do połowy 1943 r. dostało się około 300 wsi zamojskich zamieszkałych przez ponad 100 tys. mieszkańców.

W toku jej realizacji dopuszczono się wielu krwawych zbrodni, w tym i wobec około 30 tys. dzieci polskich.

Wobec Żydów hitlerowski okupant kierował się ogólnym założeniem, że są oni „odwiecznym wrogiem narodu niemieckiego i muszą być wytepieni. Wszystkich bez wyjątku Żydów — stwierdzał Himmler — których zdołamy osiągnąć trzeba wytepić teraz, w czasie wojny”. Realizując to założenie Niemcy rozpoczęli od pierwszych miesięcy okupacji narzucać ludności żydowskiej szereg brutalnych restrykcji i ograniczeń. We wrześniu i październiku żołnierze Wehrmachtu dokonali licznych ekscesów, rabowali sklepy żydowskie i mordowali pojedynczych Żydów na ulicach miast i osad. W lipca-

Przypomnijmy to raz jeszcze

nie w Zamościu, Hrubieszowie i Bilgoraju. W październiku 1942 r. zarządził skupienie pozostałych na Lubelszczyźnie Żydów w ośmiu tzw. wtórnych gettach: Międzyrzec, Łukowie, Parczewie, Włodawie, Piaskach, Końskowoli, Izbicy i Zaklikowie. Do końca 1942 r. wymordowano około 90 proc. wszystkich Żydów w okręgu lubelskim. Pozostałą część likwidowano systematycznie przez cały 1943 r. Na początku listopada tego roku w masowych egzekucjach dokonanych na Majdanku, w Trawnikach i Poniatowej rozstrzelano pozostałych 45 tys. Żydów. Łącznie hitlerowcy wymordowali na Lubelszczyźnie ok. 250 tys. Żydów zamieszkałych tu przed wojną. W toku tej akcji dopuścili się oni najokrutniejszych, trudnych wprost do opisanie zbrodni.

Równoległe do eksterminacji Żydów okupant stosował brutalny terror wobec Polaków, dokonując masowych egzekucji, pacyfikacji połączonych z paleniem i niszczeniem wsi, aresztowań, zsyłek do obozów koncentracyjnych, na roboty do Rzeszy, obozów pracy itp.

Ze szczególną brutalnością mścił się okupant na Polakach pomagających mordowanemu Żydom. Ludność polska pospieszyła bowiem z maksymalną i masową pomocą ofia-

rom hitlerowskiego rasizmu. I tak na przykład członkowie PPR i GL pomagali Żydom w ucieczkach do lasu, udzielali im ochrony, dawali żywność, formowali z nich oddziały partyzanckie, wyposażając je w broń i bazy leśne. W historii znane są takie oddziały GL złożone w większości z Żydów jak im. Emili Plater pod dowództwem Samuela Jegiera, im. J. Kozińskiego pod dowództwem Grubera, im. Berka Joselewicza pod dowództwem Chyla Grynspana, oddział specjalny pod dowództwem Gustawa Alefa-Bolkowicka.

Ruch ludowy i Bataliony Chłopskie organizowały masowe przechowywanie Żydów po wsiach. Dzięki im to właśnie inicjatywie uratowali się od śmierci tak wybitni ludzie jak np. prof. UW Malowist (Mill) czy prof. UJ Ludwik Ehrlich, i wielu innych.

Armia Krajowa przez swe tzw. komórki legalizacyjne organizowała masowe zapatrywanie ukrywających się Żydów w „lewe” kenkarty i świadectwa metrykalne. W powiecie tomaszowskim oddziały Armii Krajowej chroniły całe zgromadzenia ukrywających się w leśnych bunkrach dużych grup Żydów Zamojszczyzny i województwa lwowskiego. Często były też wypadki likwidowania przez bojówki AK osób kolaborujących z Niemcami w dziedzinie uciskania lub likwidacji Żydów.

Środowisko socjalistów doprowadziło do utworzenia w Warszawie specjalnego „Komitetu zamojsko-lubelskiego niesienia pomocy Żydom”, który uratował około 270 Żydów.

Z pomocą pospieszyło również duchowieństwo, klasztory itp.

Inną jest rzeczą, że poważna część społeczności żydowskiej znalazła się pod wpływem tzw. Judenratów, wykazujących wyraźne tendencje do kolaboracji lub ułudnej wiary, że całkowita pasywność, lojalność wobec morderców i bierność poddawanie się nakazom hitlerowskim może uratować szerokie rzesze Żydów od zagłady. Zdarzały się więc wypadki, że przygotowane przez organizacje podziemne lub poszczególne osoby ucieczki Żydów z gett i obozów nie zostały przez samych więźniów wykorzystane lub były niekonsekwentnie podejmowane. Nie wykorzystali również Żydzi zbyt masowo okazji do tego, by chwycić za broń, związać się ściśle z oddziałami partyzanckimi i tą drogą walczyć o własne życie i niepodległość Polski.

Za pomoc udzieloną Żydom wielu mieszkańców lubelskich wsi i miast poniosło ciężkie represje do kary śmierci włącznie.

Warto te sprawy przypomnieć, szczególnie wobec ponurych insynuacji, jakie syjonizm kieruje dziś w różnych krajach pod adresem narodu polskiego.

Telewizor przeciw kotom

Ireneusz J. Kamiński

SOLTYS już mnie wycałował, już wali na całego, ale chytrze, przebiegają w słowach, akcenty rozkłada jak stary wyga na prelegentkiej delegacji, on posiadał wiedzę o swoich i miastowych, wie jak do tych, a jak do tamtych. Przerzywa, śmieje się, ale tak mimochodem, aby nie speszzyć gościa z długopisem, aby nie urazić. Mój śmiech jest głośniejszy, bo przecież trzeba soltysa zachęcić, rozbroić z wrodzonej ostrożności, przekonać o wielkim zainteresowaniu sprawami, dla których tu przyjechałem. I tak sobie gramy w ping-ponga, on zdanie, ja w śmiech, on w chichot, bo ja zdanie.

A jak jedna stara przyjechała w goście, to przed telewizorem zgłupiała. Boski to, czy diabelski wynalazek, pyta, i na wszelki wypadek znak krzyża cichcem przez piersi kreśli. Prawda to, czy mara?!

Pochyliam się, długopis skrzypli w chętnie dłoni, a soltys tylko patrzy jak by tu redaktora z lewej zaskoczyć.

Dobra ta inicjatywa powiatu — ciągnie w dobrze opanowanym języku narad i odpraw gromadzkich. — I szybko. Ledwo zastępca przewodniczącego rady powiatowej Kwiatkowski Józef, i pierwszy sekretarz Komitetu, Jankowski, i kierownik ZURT-u z Krasnegostawu, dobrze mówię, ledwo przyjechali, zaraz doszło do zgody. Powiedzieli: każdy we wsi może dostać telewizor, płacić będzie przez trzy lata po 300 złotych miesięcznie, można też kwartalnie. Jak aparat nawali, ZURT zaraz przyjedzie i naprawi. Poszedłem do ludzi i mówię, co i jak. Po tygodniu w 50 chałupach były telewizory. W Malochwieju ludzie chętni do nowego.

Zaciągnął się Stanisław Marczewski „sportem”, oparł wygodnie o krzesło i czeka na dalsze pytania. Jest szczupły, niewysoki, ale jakoś mocny. Od dziesięciu lat rządzi w tej wsi, 600 mieszkańców licząc, skupionej po obu stronach drogi Lublin — Uchanie — Hrubieszów. Przez dziesięć lat przywykł do różnych wizyt, nikt go już nie zaskoczy. Dostał niejedną nagrodę za dobrą robotę, ostatnio za sprawne przeprowadzenie akcji „telewizor”, a nieco wcześniej od cukrowni — za 500 kwintali buraków zebranych z hektara. Dom sobie postawił, myśli o nowej oborze. Ma 45 lat, żonę i syna, doczekał się już wnuka. Podejrzewa, że on właśnie jest reporterskim t e m a t e m. Ale ja przyjechałem po inny, o nazwie „telewizja na wsi”. Pytam, jakie programy oglądają najczęściej.

Dziennik, wiadomo, pogadanki rolnicze, no i filmy.

Przez te filmy mało nie straciłem roboty — wtrąca syn soltysa, kierownik kina, który dotychczas przysłuchiwał się naszej rozmowie. — Jak nie było we wsi telewizorów, kino zawsze pełne, a i kasa nie była pusta. A teraz? Wolą siedzieć po chałupach i patrzeć na ekran, bo i filmy w telewizji ciekawsze. W „Tatrach” mamy tylko wąską taśmę, kopie filmowe są zniszczone, czasami zamiast słów kwiki jakiegoś i szmery słychać z głośnika.

Widziałem afisz przed waszym obejściem...

A tak, bo kino czynne. Za dużo remont kosztował, żeby zamykać. Obiecali nam aparaty na szeroką taśmę... Może wtedy poprawi się frekwencja.

Telewizja dobra rzecz, ale dużo zamętu we wsi zrobiła. Jest tu taki gospodarz, dobry gospodarz, trzy córki kształci w szkołach, ma sporo hektarów i mało ludzi do roboty, to i musi wynajmować. Przygotował kiedyś młodzież, ludzie przyszli, maszyna ruszyła, robia pół godziny, godzinę, aż tu nagle pusto zrobiło się w stodole. Gospodarz ziarno odnosił to i nie zauważył jak się rozbiegli, jednego tylko zdążył i pyta, co to ma znaczyć, dlaczego tamci uciekli. A ten pokazuje na zegarek, w głowę się stuka i krzyczy: „Bonanza”, człowieku, „Bonanza” się zaczęła! I poszedł...!

A u was jest telewizor? — pytam retorycznie.

A u was nie ma? — ripostuje soltys.

Cóż miałem zrobić? Przyznałem się do „Topaza”, z obawy, że zerwie się nie porozumienia, którą udało mi się nawiązać z soltysem. Wysoki cel uświęcił moje kłamstwo. Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju.

Oto — zaakcentował soltys.

Oto — pomyślałem, po dokładnej lustracji pokoju — idol kultury masowej, środek upowszechniania oświaty, narzędzie kształtowania osobowości, przyczyna fermentu we wsi — za jedne 300 złotych miesięcznie. Oto on, telewizor, twór współczesnej techniki pulsującej światłem lamp elektronowych, kryjący w swoim wnętrzu dziesiątki tranzystorowych tajemnic, powodujących magiczny gest wizytującej dom soltysa prababki. Oto pośrednik kultury miejskiej, docierającej pod eternity krojem spikerskich garniturów, kształtem pokazanych samochodów, reportażem z wielkiej fabryki, obrazami dalekich krajów.

Stał na podwyższeniu obok łóżka, w otoczeniu ogromnych kwiatów o soczystych i szerokich liściach. Miał konkurentów: nad łóżkiem wisiała pokaznych rozmiarów czarna makata, na której ręka artysty wyczarowała scenkę wdzięczną, oczyszczającą wewnętrzną, zapadającą na ostatnie dno pamięci. Kilka złotych rusalek w pilosowanych kielcach oddawało się pięknie i pożytecznemu zajęciu zbierania czegoś okragłego i brązowego. Malarz, kolorysta z bożej łaski, ujawnił wszystkie swoje talenty, nie skąpił różu, jadowitej zieleni i żółci.

Gdzie kupiona? — odwróciłem się do soltysa.

Chodził po domach, zbierali zamówienia, a potem przysłali — wyjaśnił, lekko jakby zaskoczony moją ciekawością.

Skąd?

Z Lublina. To też z Lublina, i to, i tamto — zatoczył ręką szeroki łuk, obejmujący gipsową figurkę mocnego w wyrazie kota, barwne tondo z papieroplastyki, pocięte srebrkiem, i sugestywny portret młodego człowieka w mundurze wojskowym z kaprałskimi dystynkcjami.

Syn? — zatrzymałem się przy tym ostatnim, zręcznym kolorowanym wizerunku.

Kiedy byłem w WOP-ie — uprzedził ojca młody Marczewski.

Za ile? — powróciłem do makaty.

„Grzybobranie”? Musi 350.

W kuchni soltysa wisiały podobne produkty aktywności lubelskich malarzy, które w skali krajowej zajmują niewątpliwie pierwsze miejsce, zarówno pod względem wysokości dochodów jak i „kulturowości” roli na terenie makolasiestwockich i wiejskich społeczności. Telewizor ma przed sobą długą i ciężką wojnę. Czy wygra ją jeszcze w tym pokoleniu? Łatwiej zbudować nowoczesny dom, niż... Tak, znamy to na pamięć, ale czy zawsze prawda ta towarzyszy naszej praktyce społecznej?

Telewizja... — zacząłem, kiedy usiedliśmy na amerykańce.

My tu mamy ważniejsze rzeczy — przerwał soltys. — Zlewnie mleka, nową remizę, kółko rolnicze, które daje 100 tysięcy rocznego dochodu, ma 7 ciągników z kompletnymi zestawami i stawy z karpem tak tłustym, że tylko ćwiartkę szykować... ale innym razem, bo wczoraj załatwiałem takie różne sprawy, a redaktor wie jak to jest...

Czwartkę? — podchwyciłem.

A sklep tutaj macie?

Najładniejszy w gromadzie! Nasz własny, za nasze pieniądze. Wybraliśmy komitet, który chodził od chałupy do chałupy, agitował, namawiał, i ludzie, jak to w Malochwieju, nie dali się długo prosić. Teraz chcemy ogrodzić kawałek placu przed sklepem, żeby postawić stoliki; nie chcą już ludzie pić piwa na stojaka. Po wojnie, nie oglądając się na żadną pomoc, sami założyliśmy światło, pierwszy w powiecie, później stanęła szkoła i remiza, ale już państwo dolożyło. Pannie redaktorze, tylko do nas przyjeżdżać. Latem jak w uzdrowisku, a i dowiedzieć się można i napisać, że Malochwiej pierwszy wplacił na Społeczny Fundusz Budowy Szkół i Internatów, a z podatkami nigdy nie zalegał.

Soltysie, notując: duże poczucie obywatelskiej odpowiedzialności...

Nie spadło z nieba. Już w czasie wojny...

W czasie wojny kilkudziesięciu ludzi z Malochwieja było w Batalionach Chłopskich, lecz żaden nie zginął, dzięki świetnej konspiracji. A dywersja i sabotaż nie należały przecież do rzeczy bezpiecznych. Brali też udział w ataku na więzienie krasnostawskie, uwalniając wielu zakładników, jeńców i więźniów. Kiedy Niemcy zamknęli miły spółdzielczy, jego dotychczasowy kierownik, Stanisław Weremec, otwierał w nocy piwnicę, a przycyżeni w siatki chłopcy w milczeniu wrzucali do wnętrza ćwiartki zboża. Młyn skrzyjał, ale nie za głośno. I tak wieś przetrwała.

Byłem wtedy młody, przed dwudziestką, niewiele pamiętam. Ale są ludzie we wsi, którzy notują wszystko, prowadzą kronikę, jak na przykład Dziwulski, prezes ZSL, czy Oleszczuk...

Józef Oleszczuk, którego zastaliśmy w oborze przy czyszczeniu krowy, zaprosił nas do domu, po drodze wypytując o cel wizyty. Historia Malochwieja, fakty ciekawe i ważne? Niewiele — mówił — już pamięta, 70 rok zrobił swoje. No, ale zobaczymy.

Na ścianach pokoju, w którym usiedliśmy wokół stołu, wisiały reprodukcje obrazów Chelmońskiego.

Pokażę panu coś lepszego — gospodarz zauważył moje zainteresowanie i podszedł do biblioteczki. — To właśnie — podał mi gruby tom. Otworzyłem na karcie tytułowej: „Grotgter” Antoniego Potockiego. Szybko przeleciałem wzrokiem po grzbietach pozostałych książek: Hugo, Balzac, Kraszewski, Sienkiewicz, Prus oraz wiele publikacji na tematy rolnicze. W kącie stał „akcyjny” telewizor.

Czas tylko pożera, przez niego nie ma kto robić w gospodarstwie — z uśmiechem skomentowała obiektem mojego spojrzenia żona Oleszczuka, Maria.

Rzeczy ciekawe? — zastanawiał się głośno Oleszczuk. — Za cara utopił jednego, co donosił, w drugą wojnę zastrzelili przez pomyłkę dwóch zamiast jednego... O to chodzi?

Niezupełnie — zmieszkałem się.

Oleszczuk otworzył album ze zdjęciami, przyniósł jeszcze jedną książkę.

Tu jest historia ludzi, którzy w tej wsi zrobili coś dobrego. Wszystko zaczął Protazy Wnorowski, nauczyciel, zesłany tu po koniec ubiegłego wieku przez władze carskie za patriotyzm. On właśnie nauczył chłopów w Malochwieju kosą robić, pierwszy teatr założył, szerzył oświatę rolniczą. Umarł w 1925 r. Proponowałem niedawno, żeby mu jakiś skromny pomnik wystawić, ale bez skutku. Cóż ja powiem o sobie... Przez wiele lat działałem w ruchu ludowym, a i Marysia brała udział w wielkim strajku chłopskim w 1937 roku, ja byłem bardziej lewy, ciągnęło mnie do komunistów, ale tak jakoś zostałem przy ludowcach. Kiedy wcześniej w dwudziestym roku, musiałem iść na Kijów, mówiłem głośno co myślę o deptaniu obcej ziemi, aż dowódca rozkazał milczeć; lubił mnie, na szczęście. Działalem i po wojnie, ale dziś nie wychodzę już z wsi.

Dlaczego? — nie wytrzymałem, przeczuwając jakiś osobisty dramat. — Przecież jest pan zdrowym, jak widzę, człowiekiem.

Na zdrowie nie narzekam, sił wystarcza, jeszcze niejedną furę gnoju wywożę na pole. Ale ja się wsi boję — mówiąc to wstał i przeprosił nas na chwilę.

To mądry człowiek — nachylił się do mnie soltys. — Jak on kiedyś straż ogniową prowadził! Na zabawach nie pozwalał tańczyć w czapkach i z papierosami w zębach, dzięki niemu skończyło się we wsi nożownictwo. Nie raz go wygwizdali, upokorzyli. Zawsze miał swoje zdanie...

Oleszczuk przyniósł fotografie: „Kolo Młodzieży Wiejskiej w Malochwieju 1928”, „Członkowie Teatru w Malochwieju w 1913 r.”... Na niektórych on sam — młody, przystojny mężczyzna — na innych jego żona.

Po długiej rozmowie, w której czasie odległe mieszały się ze współczesnością, wspomnienia zle z dobrymi, zaczęliśmy żegnać naszych gospodarzy.

Ale, ale, oglądał pan w telewizji „Drewniany różaniec”? — zatrzymała nas Oleszczukowa. — Pamięta pan dzieci pytające, dlaczego mają modlić się za papieża, skoro on nie grzeszy? I zakłopotanie księdza? Mądre pytanie.

A „Drewniany talerz”, soltysie? — wtrącił Oleszczuk.

No, was na pewno nie spotka los tego starego z filmu, wnuki nie dopuszczą.

Wasze chyba też.

Już na odjeździe soltys przypomniał mi o 15 tysiącach młodego karpia, wpuszczonego niedawno w stawy kółka rolniczego, o zarodowej hodowli świń, owiec i bydła, w której przoduje Malochwiej, o potrzebie nowego dachu nad szkołą. Wspomniał też, że o niedawnej historii szkoły, tej sprzed kilku lat, pisać nie warto. Obiecałem, dotrzymuję słowa.

To była dobra robota

Czesław Tadeusz Zwolski

Instytut Naukowo-Społeczny w Radomiu to nie tylko pierwsza, ale i jedyna tego rodzaju placówka w odrodzonej Polsce. Początków jej powstania należy szukać w grupie naukowców z prof. dr Tadeuszem Kotarbińskim na czele, która przybyła do Radomia po upadku Powstania Warszawskiego. Naukowcy ci niemal natychmiast po przybyciu uruchomili filię konspiracyjnego Uniwersytetu Warszawskiego pod postacią kursu uniwersyteckiego w zakresie filozofii, logiki, socjologii i innych nauk społecznych. Kurs ten powstał z inicjatywy mgr Janusza Chmielewskiego i trwał do kwietnia 1945 r.

Ale już wcześniej, 7 lutego 1945 r., po licznych rozmowach radomskich działaczy społecznych z warszawskimi naukowcami, powstał Instytut Naukowo-Społeczny. Założycielami byli: mec. Henryk Paluszynski, mgr Teofil Warchol, mgr Stanisław Piętoski, Elżbieta Galecka (Jackiewiczowa), Antoni Kwapiec, Marian Soltyk, Tomasz Kwapisiewicz i Eugeniusz Wasilewski.

Oficjalne zarejestrowanie nowej placówki ciągnęło się w kieleckim Urzędzie Wojewódzkim aż do 18 czerwca 1946 r. Jedni uważali, że taką działalność powinny prowadzić placówki państwowe, inni — że w całej sprawie może się kryć zakonspirowana organizacja o wrogim dla nowej rzeczywistości nastawieniu. Dokumentem, na którym do czasu opierało się działanie INS, było wydane w Lublinie pismo Delegata Rządu, Józefa Niemca, w którym czytamy: *Powierzam obywatelowi Paluszynskiemu zorganizowanie i prowadzenie Instytutu Naukowo-Społecznego, obejmującego: 1) szkolenie kadr administracyjnych, 2) działalność naukową, 3) działalność propagandową — wg umowy z mną planowanej. Do pracy proszę zaciągnąć Starostę Powiatowego, Prezydenta Miasta i Związek Zawodowy. Do załatwienia rejestracji przyczynił się też fakt, że w ciągu pół roku o pracy INS ukazało się w prasie polskiej aż 208 przychylnych artykułów i wzmianek.*

Lokale INS mieściły się w dwóch miejscach, przy ul. Zeromskiego nr 15 (dawna restauracja „Rzym”) oraz nr 35 (Państwowe Żeńskie Gimnazjum i Liceum Krawieckie). Zgodnie ze statutem powołano sekcje odczytową, naukową, widowiskową, kształceniową, spółdzielczą i wydawniczą. Prowadziły one bardzo różnorodną działalność. Warto o niej pokrótce przypomnieć, podkreślając, że działało to wszystko ponad 20 lat temu w trudnych warunkach politycznych i gospodarczych, prawie wyłącznie dzięki pracy społecznej grupy ludzi.

Największą chyba rolę spełniał Uniwersytet Powszechny im. Stefana Zeromskiego, który powstał 18 maja 1945 r. jako — jak głosi jeden z dokumentów — *dar INS-u dla klasy robotniczej miasta z okazji Święta Pracy*. Kierował nim Marian Soltyk. Uniwersytet prowadził zajęcia z zakresu języka polskiego, historii, geografii, fizyki, spółdzielczości, literatury polskiej, historii ruchu robotniczego, ekonomii politycznej i nauk przyrodniczych. Na wykłady uczęszczało 100—120 słuchaczy. Uruchomiono dwie filie w dzielnicach robotniczych — na Glinicach w szkole przy ul. Górnej 15 (gdzie również była czynna świetlica prowadzona przez Jaworskiego) oraz na Zamłynie przy ul. Głównej 3. Z inicjatywy E. Jackiewiczowej rozpoczęto prelekcje w zakładach pracy. We wspomnianiu „Rok entuzjazmu” (rękopis w posiadaniu autora niniejszego artykułu) pisze ona m.in.: *Zaczęliśmy „połową dusz”. Postanowiliśmy do-*

trzech do tych, którzy do nas przyjeżdżają, do biernych i obojętnych. Inżynier Wasilewski przygotował „Bombę atomową” i „Radar”, ja różne tematy literacko-społeczno-wychowawcze... Kiedy mnie wysłano do największej fabryki Radomia z odczytem uzgodnionym z Radą Zakładową „Młodzież w walce o lepsze jutro” — zostałam na soli trzech słuchaczy. I tak było jeszcze parę razy. Ale potem ruszyło. Świetlice fabryczne wypełniły się, słuchacze stali, gdy brakło miejsc siedzących, odpowiedzieli chętnie i śmiało na rzucone im pytania, a po wykładzie obiegali prelegenta.

Uniwersytet Powszechny został przejęty przez Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych po połączeniu się INS z TUR 22 lipca 1945 r. Od tego czasu INS działał jako autonomiczna placówka TUP korzystając w swej działalności z poparcia finansowego możliwego protektora.

Miasto zarzucane było wprost afizkami o odczytach naukowców, spotkaniach z literatami, prelekcjach działaczy politycznych, koncertach, przedstawieniach.

I tak cykl wykładów prowadził prof. Kotarbiński, który w jednodzielnym „15 lat”, wydanej w styczniu 1960 r., pisał: *Po przeprowadzeniu hitlerowców zorganizowano jawną instytucję, poświęconą rozpowszechnianiu wiedzy pod nazwą Instytutu Naukowo-Społecznego, którego wspomnienie kojarzy mi się w pamięci przede wszystkim z nazwiskiem mec. Paluszynskiego. Instytut uruchomił grono prelegentów. Znalazłem się wśród nich jako wykładowca cyklu poświęconego sprawności działania. I zbiegła się ta tematyka z zamówieniem społecznym, ponieważ zapadnięcie dobrej roboty urasta u nas do rangi problemu pierwszorzędnej doniosłości.*

Wśród prelegentów znalazły się takie znakomitości, jak prof. dr Czesław Znamierowski, prof. dr Aleksander Marzenko z Uniwersytetu Leningradzkiego, dr Jeanette Para z Francji, prof. dr Henryk Jabłoński, prof. dr St. Lewicki, doc. dr E. Chyżewski, dr J. Chmielewski. W sumie w ciągu 3 lat istnienia INS ponad 70 wybitnych prelegentów, którzy wygłosili ok. 160 odczytów. Liczbę słuchaczy ocenia się na 10—12 tysięcy.

Podobnie było z literatami. Spotkania autorskie odbywali m.in. Jan Parandowski, Maria Dąbrowska, Jerzy Andrzejewski, Julian Przybóś, Jalu Kurek, Jan Bolesław Ożóg. Klub Dyskusyjno-Literacki (zbierał się w kawiarni Wolańskiego) urządził także kilka wieczorów autorskich z młodymi poetami Radomia — Andrzejem Kamińskim, Andrzejem Nowickim, Stanisławem Skonecznym, Zygmuntem Machnikowskim i Julianem Jaśkiewiczem. Sekcja wydawnicza, pragnąc im ułatwić debiut literacki, każdemu z nich wydała zbiorek poetycki w nakładzie 1—2 tysięcy. Powodzenie było bardzo duże. Charakterystyczne są tytuły tych zbiorów: „Konicie świata” i „Mózgleta i mózłigant” (Nowicki), „Zolnierzm świata” (Machnikowski), „Przebudzenie” (Jaśkiewicz), „Sen o karabinie” (Kamiński), „Mówi las” (Skoneczny).

Koncerty odbywały się głównie w sali kina „Wista”. Wśród solistów byli: Kazimiera Rychterowa, Eugenia Umińska, Aniela Szlemińska, Zbigniew Drzewiecki, Ewa Bandrowska - Turska, Stanisław Szpinalski oraz trio Wilkomirskich — Maria, Kazimierz i Wanda.

Wielką rolę w szerzeniu kultury i dobrej rozrywki wśród najmłodszych spełniał Teatrzyk Kukielkowy (przejęty później przez ZKK). W czasie przynależności do INS wystawił on cztery sztuki, dając 89 spektakli, które obejrzało ok. 15 tysięcy dzieci. Teatrzyk występował w szkołach, świetlicach fabrycznych, a także w okolicznych wsiach. INS uruchomił Liceum Administracyjne (wieczorowe dla pracujących), Szkołę Przysposobienia Spółdzielczego, dwustopniowe kursy administracyjne, kieszonowości, stenografii, żywego słowa, języków obcych i inne. W okresie szczególnie ciężkim, do którego braku kadr przeskoczono ok. 800 osób dla administracji i spółdzielczości. Dalej utworzono bursę dla niezamożnej młodzieży, organizowano obchody z okazji świąt państwowych i rocznic, dziesiątki dorocznych odczytów i spotkań.

Działalność naukowa INS nie była tak szeroka, ale i ona odegrała pewną rolę. Sekcja naukowa zbierała pamiętki z okresu okupacji — afizki, zdjęcia, stenogramy przemówień, raporty, wspomnienia. Sporządzała dokumentację miejsc straceń, ustalała listy zamordowanych przez hitlerowców, stawiła tymczasowe pomniki, przygotowywała się do uruchomienia Muzeum Mę-

(Dokończenie na str. 11)

NAUKOWCY I STUDENCI

o strukturze uniwersytetów i wychowaniu moralno-politycznym



Doc. J. Barcicki

Doc. T. Baszyński

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Zmian na wyższych uczelniach mówi się już od kilku lat, ale raczej półgłosem. Dla wielu ludzi struktura ta, usankcjonowana wielowiekową tradycją, wydaje się idealną, a przecież ostatnie wypadki pokazały, że tak nie jest. Zapominamy też często, że pokazana część wyższych uczelni powstawała w okresie gdy były one ostojami klerykalizmu, a niekiedy spełniały nawet rolę, swego rodzaju inkwizycji — naukowej, politycznej, społecznej, religijnej. Stąd zaciekle bronili swojej niezależności od władz państwowych, na tym tle powstawały teorie o autonomii uniwersyteckiej, której celem była nie obrona samej uczelni, nie prawdziwej nauki, nie postępowej myśli uczonych, ale przywilejów klas panujących, dostarczających zarówno przeważającej ilości kadry naukowej jak i studentów. Nie wdając się w szczegóły trzeba stwierdzić, że struktura uniwersytetów od tych czasów prawie wcale się nie zmieniła. Dziś jeszcze można usłyszeć głosy, że wyższe uczelnie mają tylko dwa zadania: kształcenie fachowców i prowadzenie pracy naukowej dla samej nauki, niezależnie od warunków politycznych i społecznych. Jest chyba oczywiste, że z tym zgodzić się dzisiaj nie możemy. Z drugiej strony marzec pokazał, że działające na wyższych uczelniach organizacje młodzieżowe nie posiadają należytego autorytetu wśród studentów. Jak więc wyobrażamy sobie prowadzenie na przyszłość pracy wychowawczej wśród młodzieży akademickiej? Jest przecież rzeczą jasną, że przyszłość socjalizmu w naszym kraju zależy nie tylko od fachowego, ale również i moralno-politycznego wychowania młodzieży.

Doc. KLIMASZEWSKI — Wypadki marcowe pokazały nie tylko użyteczność, ale i wagę, jaką posiadają wyższe uczelnie w życiu całego społeczeństwa. Jednak w dyskusjach, które na tym tle się rozwijają, pojawiają się także poglądy niepokojące, chociaż same dyskusje są niewątpliwie pozytywne. Mianowicie usiłuje się znaleźć wspólny mianownik dla wszystkich wyższych uczelni. Moim zdaniem jest to niesłuszne. Każdy typ uczelni — uniwersytet, politechnika czy akademia medyczna — pracuje w innych warunkach, powinien więc mieć inną strukturę. Ale nawet w ramach samego tylko uniwersytetu nie można mówić o jednakowej strukturze, nie jest możliwe znalezienie wspólnego mianownika dla ap. prawa i fizyki. W naszym ustroju może najbardziej zmienić się funkcja prawa; biologii i chemii mniej, ale struktura we wszystkich wypadkach pozostała jednakowa i taka sama. Weźmy organizm ludzki, najbardziej doskonałą strukturę. Spełnia on różne funkcje właśnie dlatego, że w jego ramach istnieją różne struktury. Więcej — wartość organizmu polega właśnie na tej różnicy. Podstawowym elementem chemii jest związek, ale przecież musi być zachowana odrębność atomów, inaczej cała chemia straciłaby swój sens. I dlatego wydaje mi się, że nie znajdziemy genialnego rozwiązania dla całej uczelni, a tylko dla poszczególnych wydziałów, chociaż i w ramach wydziałów są duże różnice.

Dr KOROBOWICZ — Wspomniał pan docent o prawie. Chciałbym tu podkreślić szczególnie ważną społeczną rolę prawa.

Doc. KLIMASZEWSKI — Zmieniła się ona zasadniczo. Kiedyś prawo było narzędziem władzy mniejszości nad większością, broniło interesów klas posiadających. Dziś jest odwrotnie.

Mgr PIENIAZEK — Może kilka słów o naukach humanistycznych. Wydział taki obejmuje filologię, historię, filozofię i kilka innych, dośrodk różnych kierunków. O przyznawaniu stopni naukowych decyduje rada wydziału. Powstało pytanie czy rada, w której skład wchodzi specjalista o bardzo różnych zainteresowaniach, jest ciałem w pełni kompetentnym do przyznawania tych stopni? Od dwóch czy trzech lat mówi się o tworzeniu instytutów na wyższych uczelniach, skupiających pokrewne katedry, a więc i naukowców o wspólnych czy bliskich zainteresowaniach. Ale o powstawaniu instytutów tylko się mówi, gdy przychodzi do realizacji sprawa się rozplywa. Poza naukowymi ważne są też względy ekono-

miczne — chodzi o to, aby te same, nieraz bardzo kosztowne urządzenia nie znajdowały się w dwóch czy trzech katedrach, w każdej używane tylko od czasu do czasu. Gdyby istniały instytuty wystarczająco jedno urządzenie. Ale przeskodzą, jak dotychczas skutecznie hamującą powstawanie instytutów, jest partykularyzm katedr.

Red. DOSTAŃSKI — Bywa tak i w wypadku całych uczelni. Przykładem tego biblioteka międzyuczelniana, dla której budynek jest już wykończony od przeszło trzech miesięcy, a do którego nie udało się jeszcze sprowadzić ani jednej książki. Ba — były nawet interwencje w ministerstwach, że rzekomo samowolnie umieszczono tam Annales, obsługujące przecież wszystkie uczelnie...

Dr KOROBOWICZ — Gdy chodzi o oddziaływanie wychowawcze na studentów mówi się raczej tylko o asystentach. Nie jest to słuszne, chociaż rzeczywiście asystenci stykają się ze studentami najbardziej bezpośrednio i najczęściej. A jakie dajemy tym asystentom przygotowanie do pracy pedagogicznej? Od kilku lat na UMCS istnieją kursy pedagogiczne, gdzie mówi się o historii pedagogiki dużo, o aktualnej i bezpośrednio działalności bardzo mało. Taki system kształcenia jest bardzo archaiczny. Przecież właśnie na humanistyce powinno prowadzić się ze studentami dyskusje, ale czy zdajemy sobie sprawę, jak są do nich przygotowywani asystenci, ludzie, którzy mają je prowadzić? Mimo wielu deklaracji fakt jest nie zmieniony: w polityce awansowania dydaktyczne zaangażowanie się nie posiada żadnego znaczenia, liczy się tylko praca naukowa. Chciałbym jeszcze bardzo silnie podkreślić współodpowiedzialność kierownika katedry za pracę dydaktyczną. Postępowanie asystenta jest pochodną postępowania profesora. Nieudolny wykład asystenta, jego niewłaściwe postępowanie tworzy coraz głębszy przedział między nim a studentami.

Prof. UHORCZAK — Temat naszej dyskusji w rzeczywistości jest bardzo rozległy. Chciałbym najpierw przypomnieć, że praca dydaktyczna i praca wychowawcza to nie to samo. Na wyższej uczelni działamy czy powinniśmy działać w trzech kierunkach: prowadzenie badań naukowych, nauczanie czyli dydaktyka i oddziaływanie wychowawcze. Ale te trzy dyscypliny nie są równoprawne. Trzeba chyba podkreślić szczególną rolę wychowawczą geografii. Już sam fakt pokazania sąsiedztwa i współdziałania człowieka z całym światem jest bardzo wartościowym elementem wychowawczym. Wystarczyłoby dobrze nauczać geografii w określonych warunkach, by stosunki międzyludzkie uległy zasadniczej poprawie. Ale w dzisiejszych czasach oddziaływanie nauk technicznych jest niebotycznie większe niż dyscyplin humanistycznych. Może dlatego, że technika operuje konkretnymi, a w humanistyce wciąż są ważne poglądy indywidualne. Moim zdaniem fundamentalne znaczenie na człowieka powinny wywierać nauki filozoficzne, powiedzmy ogólnie — humanistyczne. W praktyce znaczenie humanistyki jest coraz mniejsze.

Jaka jest nasza rola w ramach aktualnej struktury wyższych uczelni? Struktura jest od nas niezależna, my możemy tylko dawać sugestie. Osobiście myślę, że nie dojdzie chyba do powstania godzin wychowawczych. Struktura zajęć jest rzeczywiście niedoskonała. Wciąż panuje duża werbalność, słyszność wykładów i grup ćwiczeń, co zresztą regulują instrukcje. Np. gdy na specjalizacji mam 4 studentki, to nie liczy się do mojego pensum, bo grupa powinna mieć 5 osób, chociaż owe 4 robią to samo. Myślę, że do pracowników naukowych trzeba podchodzić z większym zaufaniem, nie wszystko tak ściśle regulować zarządzeniami. Personel dydaktyczny dobieramy zgodnie z uzdolnieniami naukowymi. Gdyby wziąć asystenta z dużym talentem dydaktycznym, a średnim naukowym — to po prostu nie utrzyma się na uczelni. My, samodzielni pracownicy nauki, poznajemy asystenta raczej tylko na seminariach i naradach, mamy własne wykłady, ćwiczenia i badania, nie jesteśmy w stanie sprawdzać na bieżąco ich pracy w trzech grupach, jakie oni mają. W rezultacie proces bezpośredniego oddziaływania na studentów pozostawiamy im.

Istnieje też duża dysproporcja między rozwojem nauki a możli-

wościami jej przekazywania. Tam, gdzie pogłębienie jest konieczna, jakie często nie posiadamy odpowiednich środków audiowizualnych. Chociażby moje doświadczenie sprzed kilku miesięcy. Miałem wygłosić wykład inauguracyjny o rozwoju kartografii radzieckiej. Były olbrzymie kłopoty ze zdobyciem odpowiedniego ekranu, wreszcie jakiś znalazł się — ale nieodpowiedni, trzy czwarte obecnych nie nie widziało.

Patrząc sceptycznie na nasze oddziaływanie na młodzież. Są organizacje studenckie, ale my, naukowcy, prawie nie mamy z nimi kontaktów. Nie wiem czyja to wina — może i nasza. Ja osobiście nie wiem, jaki jest zasięg oddziaływania ZMS na naszym wydziale. Dobrze by było, aby organizacja nie działała powierzchownie, sloganowo. Warto też podyskutować osobno na temat współczesnego ideału wychowania. Wielu z nas rozumie dobrze wychowanie w duchu socjalistycznym, ale czy wszyscy? Przez pewien czas pozornie wszystko idzie dobrze, potem nagle następuje awaria. Wtedy na gwałt szuka się środków zaradczych, niekiedy winnych. A musimy pamiętać, że mamy do czynienia nie z ludźmi dorosłymi, chociaż wybierają oni posłów na sejm, ale z dorastającymi na naszych oczach, pod naszym wpływem. Po 4 czy 5 latach studiów ci ludzie będą już rzeczywistość dorosli, spotkają się z całkiem nowym zakresem obowiązków, będą musieli często podejmować samodzielne decyzje. Odpowiednie kształtowanie tych ludzi to największa trudność, ale i nasz najważniejszy obowiązek. A kto z nas może powiedzieć, że dobrze zna młodzież?

Red. BIENIASZKIEWICZ — Może dwie krótkie uwagi. Pierwsza — oczy studentów bardzo krytycznie przyglądają się swoim pedagogom. Druga — jeżeli mówimy o oddziaływaniu wychowawczym, to chyba nikt nie myśli o pogadankach w rodzaju „dzieci bądźcie grzeczne“.

Doc. OŚCIK — Nie zgadzam się z opiniami, że w pewnych wypadkach najlepiej chować głowy w piasek. Trzeba poruszać, omawiać drażliwe sprawy, które istnieją między profesorami. Studenci i tak o nich wiedzą, o nich mówią między sobą. Sprawy są niewątpliwie trudne, ale przecież widzimy, że nie wszyscy nadają się na profesorów, czasem nawet powstaje pytanie, dlaczego doszli do tego tytułu. A przecież oni też oddziałują na młodzież. Ludzi, którzy idą na świecznik, trzeba prześwietlać ze

wszystkich stron. Od wielu lat jestem członkiem rady wydziału. Omawiane są tam sprawy wychowawcze, ale wszystko kończy się dosyć zmiennie. Nikt jeszcze nie powiedział jasno, jak to wychowanie ma wyglądać, a jeżeli mówi się na ten temat, to każdy inaczej. O wychowaniu — przedszkolaków oraz uczniów szkół podstawowych czy średnich mamy dziesiątki rozpraw naukowych i innych książek. O tych samych zagadnieniach w środowisku studenckim prawie nic. A równocześnie otrzymywaliśmy z Warszawy liczne instrukcje na temat konieczności pracy wychowawczej. Wydaje mi się, że na naszym wydziale oddziaływanie wychowawcze może odbywać się raczej poza normalnymi zajęciami. Trudno np. połączyć matematykę z wychowaniem, tu istnieć powinno tylko osobiste, powiedziałbym prywatne oddziaływanie na studentów.

Kilka słów o poziomie asystentów. Na te stanowiska przyjmujemy ludzi tuż po studiach. W zasadzie więc są to starsi studenci, czy mogą oni wychowywać nieco tylko młodszych ludzi, do niedawna kolegów? A te kursy pedagogiczne to nieporozumienie. Co asystentowi matematyki daje historia pedagogiki czy psychologia dziecka? Jeżeli chodzi o strukturę uczelni to gwałtowne zmiany nic tu nie rozwiążą. Ale nie można dłużej tolerować folwarków, które tworzą niektóre katedry. Idea instytutów w ramach uniwersytetów jest słuszną, ale nie jest prosta i też wymaga dyskusji.

Doc. BASZYŃSKI — Instytut tak działający, jak są dotychczas pomyślane, rozwiążą sprawę kształcenia. Minister Jabłoński mówił, że powinny one powstać od dołu, na żądanie uczelni i poszczególnych katedr. Ale co zrobić gdy ludzie nie chcą ich tworzyć? Wydaje się jednak, że tworząc idee instytutów nie uwzględniono spraw wychowawczych, chociaż może właśnie one znajdują skuteczną, najlepszy sposób oddziaływania na młodzież akademicką. Zgadza się z opiniami, że młodzi pracownicy nauki, którzy mają bezpośrednio oddziaływać na młodzież, w praktyce nie są do tego przygotowani. Nawet więcej — oni mają kształcić, a nie przesłać żadnego stażu w szkole podstawowej czy średniej. Sprawa jest do uratowania, jeżeli przez pewien czas damy im tygodniowo kilka godzin zajęć w tych szkołach. Stażysty, z których potem będą asystenci, to naszym zdaniem najlepszy absolwenci. Ale przecież już od początku mają np. poważne trudności mieszkaniowe, uczelnia nie może im pomóc, ponadto zarabiają 1000,

potem 1200 zł. Nic dziwnego, że ci najlepsi uciekają tam, gdzie znajdują lepsze warunki, a w uczelni proces dydaktyczno-wychowawczy kuleje.

Doc. BARCICKI — Wracam do sprawy struktury uniwersytetu. Powiedzmy sobie wyraźnie, że nie jest sprecyzowana rola, jaką ma odgrywać uniwersytet w dzisiejszych warunkach. W ogóle po co ludzie się kształcą? Dawniej chodziło o osiągnięcia osobiste, idealistycznie mówiąc, o doskonalenie duchowe. Dziś indywidualny cel kształcenia odpadł — wymyślono więc, że ma kształcić nauczycieli dla szkół średnich. Ale to jest niesłuszne, bo absolwenci muszą zaspokoić wszystkie dziedziny naszego życia — gospodarkę, politykę, kulturę itd. Te sprawy trzeba sobie powszechnie wyjaśnić, bo na tym tle także powstają różne braki. Pojęcie roli uniwersytetu musi być znacznie rozszerzone.

Kilka słów o zagadnieniach dydaktycznych. Mamy tu niezwykle paradoks. W każdej szkole, w każdej instytucji, w każdym przedsiębiorstwie pracownik jest tym lepszy, im dłużej pracuje na pewnym stanowisku, im większe zdobywa doświadczenie w określonym zakresie obowiązków. Odwrotnie jest na wyższych uczelniach, gdzie obowiązuje ciągła, periodyczna rotacja. Gdy asystent czegoś się nauczy, gdy zaczyna zdobywać doświadczenie w swojej pracy, musi zdobywać następny stopień naukowy, to łączy się z awansem i zmianą obowiązków — w przeciwnym wypadku musi odejść. Stąd mamy na uczelniach stale młodych i nie-doświadczonych asystentów, co mści się i na kształceniu studentów i na pracy pedagogicznej.

Konieczność oddziaływania politycznego dotyczy i pracowników naukowych, i organizacji młodzieżowych. W pracy politycznej dotychczas zbyt duży nacisk kładliśmy na zagadnienia historyczne, a zbyt mało mówiliśmy o aktualnych sprawach miasta, kraju, świata. Powinno być znacznie więcej prelekcji z dyskusjami o zagadnieniach politycznych, gospodarczych i społecznych, zarówno krajowych jak i światowych, o tym, jak sprawy światowe rzutują na nasz kraj i odwrotnie. Dobrym przykładem mogą tu być audycje telewizyjne Malcużyńskiego czy Dylawerskiego. Myślę, że w takiej sytuacji zle zaangażowanie się niektórych studentów nie miałoby miejsca. Wie-

INFORMATOR

PO MATURZE

WZWIĄZKU ze zbliżającymi się egzaminami na wyższe uczelnie redakcja „Kamena” postanowiła zamieścić szereg informacji, które pozwolą kandydatom zorientować się w specyfice wyższych uczelni województwa białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego oraz podać najważniejsze dane związane z procedurą przyjmowania kandydatów na wyższe uczelnie. W bieżącym numerze publikujemy materiały dotyczące uczelni lubelskich, następnie zajmiemy się trzema pozostałymi województwami. Nasza informacja dotyczy tylko studiów stacjonarnych, nie obejmuje studiów zaocznych i wieczorowych oraz studiów nauczycielskich.

Dokładniejsze wiadomości mogą kandydaci na studia uzyskać w poradniach wychowawczo-zawodowych. Okręgowe poradnie wychowawczo-zawodowe, podległe bezpośrednio Kuratorium okręgów szkolnych, współdziałają z pełnomocnikami przydziału wojewódzkich rad narodowych do spraw rekrutacji na studia wyższe i z wydziałami zatrudnienia. W województwie lubelskim działa Okręgowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa (Lublin, ul. Dymitrowa 8) oraz poradnie powiatowe w Białej Podlaskiej, Chełmie, Kraśniku, Puławach i Zamościu. Wszelkie informacje związane z doбором kandydatów na studia wyższe udziela też pełnomocnicy przydziału WRN do spraw rekrutacji na wyższe uczelnie. W Lublinie pełnomocnik taki przyjmuje interesantów w siedzibie Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego — ul. 3 Maja 6.

Egzaminy wstępne na I rok studiów odbywają się pomiędzy 2 a 15 lipca. W okresie trwania egzaminów kandydaci przyjęjni korzystają odpłatnie z pomieszczeń w domach studenckich (14 zł za dobę) i wyżywienia w stołówkach (całodziennie utrzymanie 22,50 zł). Powinni oni jednak do pójścia o przyjęcie na studia dotyczące zapotrzebowania na noclegi. Przystępujących do egzaminu wstępnego obowiązuje opłata zasadnicza za egzamin wstępny w wysokości 8 zł, oraz 3 zł za egzamin z każdego przedmiotu, a także opłata manipulacyjna w wysokości 4,50 zł. Kandydaci

niezamożni mogą uzyskać zwolnienie od opłaty egzaminacyjnej. W tym celu powinni złożyć prośbę łącznie z podaniem o przyjęcie na studia.

Uczniowie szkół średnich składają podania (wraz z wszelkimi załącznikami) w szkołach, w których kończą naukę. Powinny one być przesłane do rektora właściwych szkół wyższych do 15 czerwca. Absolwenci, którzy ukończyli szkołę w ubiegłych latach składają podania od 15 kwietnia do 15 maja bezpośrednio w szkołach wyższych. Odbywający zasadniczą służbę wojskową składają podania za pośrednictwem swojej jednostki wojskowej — do 10 czerwca. (Powyższe terminy dotyczą uczelni lubelskich).

Do podania na ustalonym formularzu na rok szkolny 1968/69 wraz z życiorysem i kwestionariuszem statystycznym kandydata na I rok studiów należy dołączyć:

- 1) odpis metryki urodzenia lub wyciąż z dowodu osobistego uwierzytelniony przez dyrektora szkoły lub zakład pracy (nie pracujący dołączają odpis metryki urodzenia lub wyciąż z dowodu osobistego wraz z oryginałem, który po stwierdzeniu zgodności odpisu, w szkole wyższej — będzie im niezwłocznie zwrócony);
 - 2) świadectwo dojrzałości w oryginale;
 - 3) trzy fotografie o wymiarze 37x52 mm bez nakrycia głowy, na jasnym tle;
 - 4) orzeczenie lekarskie stwierdzające przydatność kandydata do studiów na odpowiednim kierunku (badania lekarskie są bezpłatne, terminy oraz miejsce badań ustala wydział zdrowia przydziału WRN w porozumieniu z pełnomocnikami do spraw rekrutacji).
- Kandydaci ubiegający się o przyznanie stypendium (pieniężnego, mieszkaniowego, stołowego) powinni do podania o przyjęcie na I rok studiów dołączyć prośbę o udzielenie stypendium oraz zaświadczenia o wysokości zarobków lub innych dochodów poszczególnych członków rodziny, wystawione wg wzoru wymaganego przez szkołę wyższą (wzory można otrzymać w szkołach średnich lub dziekanatach poszczególnych uczelni). Częściowe stypendium stołowe może otrzymać również student, w rodzinie którego przypada na jednego członka rocznie nie więcej niż 520 zł — analogicznie 940 zł, 1140 zł oraz 1320 zł.
- W Lublinie istnieją cztery wyższe uczelnie państwowe: Akademia Medyczna, Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, Wyższa Szkoła Inżynierska oraz Wyższa Szkoła Rolnicza. Podajemy poniżej najważniejsze dane dotyczące tych uczelni, informacje o kierunkach studiów, które są tam reprezentowane oraz dane o egzaminach wstępnych na poszczególnych kierunkach.



Doc. S. Klimaszewski Dr A. Korobowicz Doc. J. Ościk Mgr A. Pieniążek Prof. F. Uhorczak W. Grzechnik K. Leszczyńska W. Mazurkiewicz (ICAF - Fot. J. Huzar)

my, że znaczna część młodzieży nie orientowała się, o co chodziło, ale w tym jest nasza znaczna wina.

Doc. KLIMASZEWSKI — Instytutu powstają, zarówno ze względu na integrację ekonomiczną jak również integrację specjalistyczną. To także dobry środek wychowania w kolektywie. Władze uczelni i wydziałów powinny częściej i dokładniej analizować sytuację w poszczególnych katedrach. Zle się dzieje tam, gdzie od lat nikt nowy nie przychodzi, ale i tam, gdzie dzieje się to zbyt często. Rotacja miała na celu nie tylko odciążenie kadry naukowej, ale i dostarczenie gospodarce narodowej kadry ze stopniami powyżej magistra — jednak w praktyce bywa to różnie.

Pomiędzy kadrą naukową a studentami kontakt jest niedostateczny. Powinniśmy uczyć młodzież wielu rzeczy poza oficjalnymi przedmiotami, przecież bezpośredni wpływ pracownika naukowego na studenta jest olbrzymi, trzeba to wykorzystać. Konieczna jest nasza kłosa więź z organizacjami młodzieżowymi. Student, zajmujący się tylko nauką, nie może być później dobrym wychowawcą, zaangażowanym politycznie pracownikiem. Trzeba młodzieży zostawić możliwie największą swobodę, ale nie wolno wypuszczać z rąk środków kierowania, zatracać więzi. A u nas brak tej więzi ze studentami, z ich organizacjami.

Dr MAŃKOWSKI — Na temat wyższych uczelni słyszymy wiele słownych krytycznych nie tylko tu, ale i od klasy robotniczej, organizacji społecznych i partii. Problem jest więc poważny i wymagający pracy przez dłuższy okres. Na uniwersytet dostajemy młodzież z różnych środowisk. Przebywa tu ona 4 czy 5 lat, ale każdy z nas, asystentów, styka się z tymi samymi studentami tylko przez jeden rok, niezmiernie rzadko towarzyszymy grupom na dalszych latach. Kontakty studenta z katedrą są też rzadkie i trudne. Student wszędzie pojawia się jak meteor, który po roku znika. W szkole ten sam wychowawca prowadzi klasę przez kilka lat i w takiej sytuacji można mówić o prawdziwym oddziaływaniu.

W Chatce Żaka odbył się cykl dyskusji pod wspólnym tytułem „Jacy jesteśmy”. Doszliśmy tam do wniosku, że na wyższej uczelni zawsze istnieje nieformalny, ale wiodący czy przywódcy typ studenta, który jest wzorem dla innych. Kiedyś był to dandys posia-

dający pieniądze, coś jakby członek dzisiejszej młodzieży bananowej. W okresie powojennym typem wiodącym był działacz społeczny, ale niestety to minęło. Dzisiaj przed wyborami w ZSP czy ZMS pojawia się pytanie nie kogo wybrać, ale kto chce być wybranym. Tym kolegom częściej studentów najpierw wspólczyje, a potem ich lekceważy. Dzisiaj typem wiodącym jest coś w rodzaju „lesera” — student z notami „państwowymi” czyli trójkami, posiadający 5 zł na kawę czy piwo, umiejący grać w karty, nie przemęczający się i nie przejmujący się niczym. Na zebraniach ZMW na historii, zresztą rzadkich, frekwencja jest minimalna. Ten typ studenta jest groźny dla całości, a odpowiedzialność za jego powstanie należy rozłożyć na rodziców, szkołę średnią i nas samych. Jeżeli chcemy lepiej oddziaływać na młodzież, musimy stworzyć nowy typ studenta wiodącego. W organizacjach młodzieżowych jest przecież wcale nie mała grupa ofiarnych ludzi, ale my im nie pomagamy, nie współpracujemy w umacnianiu ich autorytetu. Na Uniwersytecie Jagiellońskim podczas inauguracji roku przewodniczący organizacji młodzieżowych stali tuż obok rektora, na nich też spływała część splendoru. Trzeba wytworzyć taki klimat i takie obyczaje, aby podobne sytuacje nie należały do wyjątków.

Jeżeli chodzi o inne sprawy chciałbym zwrócić uwagę na konieczność większego zainteresowania się metodologią nauk. Niepokojące jest to, że w nauce stało się modne tzw. obiektywizowanie, że w naukach społecznych przeważa faktografia, że tak mało mówi się o marksizmie.

Red. BIENIASZKIEWICZ — Dlaczego działacz młodzieżowy stracił prestiż? Czy nie dlatego, że organizacje młodzieżowe zbyt się rozrosły liczebnie, że władze tych organizacji zbyt często wyznaczało się? W którym miejscu działacze zaczęli rozchodzić się z młodzieżą?

Doc. KLIMASZEWSKI — Uniwersytet nie działa wyobcowany ze społeczeństwa, ale jest jakby jego przekrojem, krzywym zwierciadłem. Ale pamiętajmy o gwałtownym rozwoju uczelni. Wcale nie mamy mniej dobrej i ofiarnej młodzieży, tylko dawniej była ona widoczna na małym tle, dziś rozplywa się w wielkiej masie.

Dr KOROBOWICZ — Zle jest, jeżeli niektóre sprawy chcielibyśmy wyłączyć z naszej dyskusji, bo rzekomo szukanie rozwiązania nie do nas należy. A co należy rozumieć przez sprawę wychowania na wyższej uczelni? Nie zgadzam się z istniejącą praktyką podawania do wierzenia obowiązujących prawd. W ten sposób zabieramy młodzieży samodzielność myślenia. Boimy się prawdziwej dyskusji, trudnych pytań z dziedziny polityki czy gospodarki, bo niby w ten sposób tracimy autorytet. A jest właśnie odwrotnie — tracimy go unikając tych pytań. W dotychczasowej dyskusji główny nacisk położyliśmy na asystentów, trochę na adiunktów — a to jest chyba niesłuszne. Struktura uczelni jak i ustawa o nich rzeczywiście nie daje samodzielnym pracownikom nauki możliwości wielkiego oddziaływania na młodzież, wyjąwszy oczywiście specyficzne wypadki — ale w takim razie trzeba zmienić i strukturę i ustawę, nasza dyskusja będzie zapewne jednym z przyczynków do rozwiązania tej sprawy. Organizacje młodzieżowe to jedno z ogniw oddziaływania. Właśnie profesorowie są nie tylko upoważnieni, ale właśnie oni powinni rozmawiać z młodzieżą na najtrudniejsze tematy. Prawda, że odbywają się zebrania z asystentami w katedrach, ale tak-że prawdą jest, że o sprawach wychowawczych, o obliczu moralno-politycznym młodzieży mówi się bardzo rzadko. Jest to poważny błąd. Pracę wychowawczą muszą prowadzić wszyscy, asystenci, adiunkci, docenci, profesorowie. A niektórym wydaje się, że kontakt ze studentami zmniejsza ich autorytet. Nic bardziej fałszywego.

Dr MAŃKOWSKI — Asystenci to niby starsi koledzy studentów, mówiono tu o ich kłopotach mieszkaniowych — a jednak usunięto ich z domów akademickich, gdzie mogliby odgrywać pozytywną rolę wychowawczą.

Mgr PIENIAŻEK — Nawijając do poprzedniego wystąpienia dr Mańkowskiego potwierdzam, że faktyczni liderzy znajdują się poza organizacjami młodzieżowymi. Ale i na „leserów” jest rada. Mielłmy kiedyś w domu akademickim bardzo niesforemny kolega i wybraliśmy go na przewodniczącego samorządu. Szybko się zmienił, dziś o uczestnikach marewowych zajść mówi: sami nie wiedzą, co czynią. Tych złych liderów trzeba

wciągnąć do organizacji, tam umiejętnie nimi pokierować i będą z nich pożyteczni ludzie. Ale tego nie robimy. Organizacje studenckie poszły na masowość, a gdy trzeba było zająć stanowisko, zdecydowanie przeciwstawić się, wszystko w pierwszej chwili jakoś rozeszło się. Są trzy organizacje — ZMS, ZMW i ZSP. To jest chyba źle. Rodzi się w różnych dziedzinach niezdrowa konkurencja, wylaniają się w praktyce pytania — kto jest ważniejszy? Powiedzmy sobie prawdę, że czasem istnieje nawet zły klimat walki podjazdowej, a zainteresowani zapominają o nadrzędnym celu. Faktem jest, że to nie młodzież narzuca program działania organizacjom młodzieżowym, ale egzekutywa organizacji narzuca go młodzieży. A jeżeli przyjrzymy się bliżej tym programom to stwierdzimy, że dzisiaj są takie same jak przed 5 laty. W ramach wolności studenckiej, że dziś przez niektórych pojętej, trzeba doprowadzić do pełnej dyskusji na te i podobne tematy.

Prof. UHORCZAK — Chyba dr Mańkowski zbliżył nas najbardziej do konkretnego tematu i może nawet od tego trzeba było zacząć. Ja osobiście z różnych powodów mam słabe kontakty ze studentami. Prowadzę wykłady na pierwszym roku, potem na IV roku dostają kilkusobową tylko grupę specjalizującą się. Ale przecież nie wszędzie tak jest.

Dyskutujemy już długo, a jeszcze nie poruszyliśmy wielu spraw. Mówimy tu o sprawach naukowych, dydaktycznych, wychowawczych — to wszystko jest dość skomplikowane dla społeczeństwa. A w gruncie rzeczy chodzi tylko o właściwe zrozumienie demokracji socjalistycznej. Myślę też, że zbyt łatwo mówi się źle o młodzieży. Młodzież pragnie życia politycznego i społecznego. Podawano tu przykład — student zmienił się, bo znalazł, czy pomógł mu znaleźć, właściwą formę wyzięcia się. Nie propaguję tu wychowania anarchicznego czy żywiołowego, ale kierunek naszego wychowania musi wyrosnąć i wyodrębnić się z innych kierunków. Nie może istnieć ekskluzywność pracy politycznej na żadnym szczeblu. Na bardzo wiele pytań można znaleźć odpowiedź w prasie, radio, telewizji, na spotkaniach. Ale są wypadki, gdy coś komuś nie odpowiada, gdy czegoś mimo wszystko nie rozumie. Wtedy konieczna jest rzetelna dyskusja a nie potępanie. Istotną rzeczą jest wychowanie polityczne. Młodzież też ma prawo wyzięcia się — od nas wszystkich zależy, jaki temu wyzięciu się nadamy kierunek. Nie wszyscy mogą być działaczami społecznymi, a więc należeć do idealu typu wiodącego. Ale wszyscy mogą być porządnyimi ludźmi, dobrymi obywatelami Polski Ludowej. Nad wtworzeniem i ugruntowaniem świadomości socjalistycznej trzeba pracować.

W. MAZURKIEWICZ — Nie tylko organizacje młodzieżowe powinny wychowywać. One oczekują dużej pomocy właśnie od kadry naukowej, która posiada i autorytet, i większą znajomość życia. Duży dystans, jaki istnieje między profesorem a studentami, trudno zaliczyć do rzeczy najrozsądniejszych. Dialog pomiędzy nimi powinien dotyczyć nie tylko spraw naukowych, ale wykraczać znacznie poza te sprawy. Tymczasem na seminariach, może tylko poza prawem, rzadko dochodzi do dyskusji.

K. LESZCZYŃSKA — Dyskusja na temat przeszczepiania serca była bardzo gorąca, zgromadziła wielu uczestników. Jestem również za dyskusjami. Ale temat musi być ciekawy, tymczasem prelegenci najczęściej uciekają od ciekawych a trudnych tematów. Dlatego dyskusje nie rozwijają się, na spotkaniach przychodzi coraz mniej osób.

W. MAZURKIEWICZ — Nawet niedawno mieliśmy spotkanie z jednym ze znanych dziennikarzy z pism codziennych. Na interesujący wszystkich temat odczytał szereg informacji z biuletynu specjalnego PAP i na tym koniec. Rzecz chyba nie na tym polega.

W. GRZECHNIK — W rezultacie nawet na prawie większego zainteresowania prelekcjami.

Przychodzi na nie do 30 osób, ale w dyskusji bierze udział najwyżej 5, bo prelegent albo ją hamuje, albo nie daje odpowiedzi. Masowość organizacji studenckich, a nalegano na to przez czas dłuższy, w rezultacie powoduje regres zainteresowań politycznych. Nowo wstępującym na uczelnie mówi się: wstępście do ZMS czy ZMW, przecież należełście do tych organizacji w szkole średniej, i wstępują, ale to są „martwe dusze”. Na UMCS do ZMS należy półtora tysiąca studentów. Ale co z tego, gdy względnie aktywne są tylko kadry. Dyktowaliłmy już we własnym gronie jak ożywić i uatrakcyjnić naszą pracę, jak stworzyć warunki, aby organizacja rzeczywiście kształtowała światopogląd nie tylko swoich członków, ale i całej młodzieży akademickiej. Dyskusje jeszcze potrwają i mamy nadzieję, że szybko nastąpi zmiana.

W. MAZURKIEWICZ — Są wyznaczeni przez uczelnię opiekunowie lat i opiekunowie organizacji. W organizacjach widzimy ich niestety bardzo rzadko, a przecież ich obecność podniosłaby prestiż organizacji i samych opiekunów. Nieobecność powoduje powstawanie dystansu, rodzi nieszczerłość. W dziekanatach też są osoby, wyznaczone do opieki nad blokami domów studenckich. I znów coś z tego, nie chodzi z nami do bloków, nie biorą udziału w rozprawach sądów koleżeńskich.

K. LESZCZYŃSKA — Praca wychowawcza powinna się szczególnie koncentrować na dwóch pierwszych latach studiów, tymczasem tam właśnie jest najwięcej zajęć, nieraz od 8 rano do 20 wieczorem z przerwą tylko na obiad. Jakże często tylko starostowie znają osoby, które opiekunów roku. Jedną z form pracy wychowawczej powinny stanowić koła naukowe, działające pod auspicjami ZSP. Ale gdy chodzi np. o koło biologów, którym ze względu na kierunek moich studiów jestem szczególnie zainteresowana, to całkiem niedawno zastanawiałmy się, czy ono w ogóle istnieje czy nie. Podobnie bywa z innymi. Aby ożywić pracę koła biologów, przyciągnąć trochę kolegów i koleżanki, chcielibyśmy wywiesić gablotę z kolorowymi motylami. Ale pracownik naukowy, do którego zwróciliśmy się w tej sprawie, odmówił jej wypożyczenia, bo rzekomo studentci mogli motyle zniszczyć, chociaż były za szkłem, a cała gablota miała wisieć w pomieszczeniach uczelni.

W. GRZECHNIK — Nie od dziś mówi się i pisze, że wcale pokaźna część starszego pokolenia jest nastawiona do życia konsumpcyjnie. Czy można się dziwić, że część młodzieży rozgląda się za korzyściami materialnymi, jakie może dać przynależność do organizacji?

A bywało, że student w nagrodę dostawał od ZSP wyjazd zagraniczny, natomiast uczelnia na taki wyjazd nie dawała zgody, co było swego rodzaju sankcją. Jest w tym jakiś paradoks.

Red. DOSTATNI — Paradoksy jest więcej. Wyższe uczelnie są jedynymi w Polsce organizacjami, w których dotychczas nominacje na kierowników katedr były ważne dożywotnio czy do czasu emerytury, w których rotacja pracowników mogła odbywać się tylko do góry.

Red. BIENIASZKIEWICZ — Jeżeli tylko bliżej spojrzymy na jeden temat, wylaniają się natchemniast trzy pokrewne. Wniosek stąd prosty: podobne dyskusje trzeba kontynuować. Nasze redakcje będą to robiły i razem, i osobno. Sytuacja sprzyja temu, aby odbywały się one także i wewnątrz uczelni i w organizacjach młodzieżowych. Na dzisiaj dziękujemy bardzo.

Relację spisał Jerzy Dostatni

AKADEMICKI PRZED STUDIAMI

AKADEMIA MEDYCZNA

Lublin, ul. Cicha 4, tel. 244-33

Rektor — prof. dr Mieczysław Stelmach. Proroktor d/s nauki i nauczania — prof. dr Stanisław Grzycki. Proroktor d/s klinicznych — prof. dr Józef Tynecki. Wydziały: Lekarski i Farmaceutyczny.

Na obydwu wydziałach obowiązują egzaminy pisemne z biologii, fizyki, chemii i języka obcego nowożytnego. Egzamin ustny sprowadza się do rozmowy pozwalającej zorientować się w przydatności kandydata na studia medyczne.

Na Akademii Medycznej studiuje 1837 osób, z czego 1225 osób na Wydziale Lekarskim i 611 na Wydziale Farmaceutycznym. W roku akademickim 1967/68 przyjęto na pierwszy rok Wydziału Lekarskiego 202 osoby (kandydatów było 440), na pierwszy rok Wydziału Farmaceutycznego 140 osób (kandydatów było 226).

Studia na Wydziale Lekarskim trwają 6 lat, na Wydziale Farmaceutycznym — 5 lat.

UNIwersYTET MARIi CURIE-SKŁODOWSKIEJ

Lublin, Plac Litewski 5, tel. 213-03

Rektor — prof. dr Grzegorz Leopold Seidler. Proroktor d/s nauki i nauczania — prof. dr Zbigniew Lorkiewicz. Proroktor d/s młodzieży — doc. dr Wiesław Skrzydło. Proroktor d/s gospodarczych i budżetowych — prof. dr Włodzisław Żuk. Wydziały: Humanistyczny; Prawa; Matematyki, Fizyki i Chemii; Biologii i Nauk o Ziemi; Ekonomiczny.

Wydział Humanistyczny: filologia polska — egzamin pisemny z literatury polskiej, egzamin ustny z literatury polskiej i historii; filologia rosyjska — egzamin pis. z j. rosyjskiego, egz. ustny z j. rosyjskiego i literatury polskiej z elementami historii powszechno-nej; filologia angielska — egz. pis. z j. angielskiego, egz. ustny z j. angielskiego i literatury polskiej; z elementami historii powszechno-nej; historia — egz. pis. z historii, egz. ustny z historii i elementami historii Polski oraz geografii; pedagogika — egz. pis.

z literatury polskiej, egz. ustny z historii, biologii lub fizyki (do wyboru przez kandydata).

Wydział Prawa: egzamin pisemny z historii, egzamin ustny z historii i geografii.

Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii: matematyka — egz. pis. z matematyki i fizyki; fizyka — egz. pis. z fizyki, egz. ustny z fizyki i matematyki; chemia — egz. pis. z matematyki, egz. ustny z chemii i fizyki.

Wydział Biologii i Nauk o Ziemi: biologia — egz. pis. z biologii, egz. ustny z biologii i chemii; geografia — egz. pisemny z geografii, egz. ustny z geografii i matematyki.

Wydział Ekonomiczny: ekonomika rolnictwa, ekonomika przemysłu — na obydwu kierunkach obowiązują egzamin pisemny z historii lub geografii (do wyboru przez kandydata) oraz z matematyki i egz. ustny z przedmiotu wybranego na egzaminie pisemnym (historia lub geografia).

Uwaga: kandydaci zdający egzamin z literatury polskiej będą pytani również z gramatyki języka polskiego.

Na UMCS studiuje 6 688 osób, z czego na studiach stacjonarnych — 3 653 osoby. W roku akademickim 1967/68 przyjęto na pierwsze lata studiów dziennych ok. tysiąca osób, kandydatów było 2 392.

Studia na UMCS trwają 5 lat. Tylko na prawie, matematyce i fizyce ogólnej — 4 lata.

WYŻSZA SZKOŁA INŻYNIERSKA

Lublin, ul. Dąbrowskiego 14 tel. 222-61

Rektor — doc. inż. Stanisław Podkowa. Proroktor d/s nauki i młodszy — mgr inż. Seweryn Bobiński. Budownictwo — łądowe, elektrotechnika, mechanika — na wszystkich kierunkach obowiązują egzamin pisemny z matematyki, ustny — z matematyki i fizyki.

W Wyższej Szkole Inżynierskiej studiuje 2 200 osób, z czego na studiach stacjonarnych — 500 osób. W roku akademickim 1967/68 przyjęto na pierwsze lata studiów dziennych 272 osoby, kandydatów było 600.

Studia na wszystkich kierunkach trwają 4 lata.

WYŻSZA SZKOŁA ROLNICZA

Lublin, ul. Osterwy 4, tel. 208-33

Rektor — prof. dr Marian Chomiak. Proroktor d/s nauczania i młodzieży — prof. dr Jan Krupowicz. Proroktor d/s nauki — prof. dr Tadeusz Jastrzębski.

Wydział Rolniczy: egzamin pisemny z biologii, egz. ustny z matematyki i biologii, Oddział Mechanizacji Rolnictwa — egz. pisemny z matematyki, egz. ustny z matematyki i fizyki lub biologii, Oddział Ogrodnictwa — egz. pisemny z biologii, egz. ustny z matematyki i biologii.

Wydział Weterynaryjny: egzamin pisemny z biologii, egz. ustny z biologii i chemii.

Wydział Zootechniczny: egzamin pisemny z biologii, egz. ustny z matematyki i biologii.

W Wyższej Szkole Rolniczej studiuje 3 468 osób, z czego na studiach dziennych — 2 189 osób. W roku akademickim 1967/68 przyjęto na pierwsze lata studiów dziennych 353 osoby, kandydatów było 1 290.

Studia rolnicze, ogrodnicze oraz zootechniczne są dwuletnie, trwają 4 lata (dyplom inżyniera) i 5 lat (dyplom magistr). Studia na Oddziale Mechanizacji Rolnictwa są jednolite — trwają 5 lat, na weterynarii — 3,5 roku.

Uwaga: należy pamiętać, że niezależnie od przedmiotów egzaminacyjnych związanych z obranym kierunkiem studiów, kandydatów do wszystkich szkół wyższych i na wszystkie kierunki studiów dziennych obowiązują egzamin sprawdzający stopień opanowania języka obcego nowożytnego (rosyjski, niemiecki, angielski lub francuski).

Jak z tą zadyszka?

Romuald Wiśniewski

GDZIES tam w świecie odnaleziono kodeks i Supraśl stał się sławny z dnia na dzień. Zjechała nawet ekipa telewizyj. Nazwa miasteczka pojawiła się na łamach prasy, jak nigdy przedtem. Sami mieszkańcy przyjęli to jednak bez większego wrażenia. Świadomość przeszłości historycznej Supraśla, dawnej i niedawnej, jest tu powszechna, ale życie to przecież dzień dzisiejszy. A właśnie wtedy, kiedy odkryto ten kodeks, w Supraślu znów brak było chleba, więc mówiono tylko o tym.

— Przed wojną, panie, to się w Supraślu dobrze żyło — wspomina z rozmarzeniem pan K. — Miałem ja, panie, powodzenie, ho, ho, a jakie kubietki! panie to byli! Buleczki, panie, to piekli tu takie ho, ho, że palce liżać! Dziś kiepskie czasy, panie, podagra mi dokuca i zadyszka mam.

Przed wojną szczególnie dobrze żyło się pani Bucholcowej, właścicielce fabryki włókienniczej, która tylko z córką zajmowała duży, secesyjny pałac, miała liczną służbę, stajnię z cugantami i wierzchowcami, powozy, a oddawała się głównie przejażdżkom po okolicy. Potem pałac powiększył się o jeszcze jednego lokatora, pana Gajera, łódzkiego fabrykanta. Ożenił się z panną Bucholcową i osiadł w jej pałacu, nadzorując telefonicznie i tylko od czasu do czasu osobiście swoje przedsiębiorstwo.

Oprócz wytwórni pani Bucholcowej były trzy inne fabryczki włókiennicze i dwa tartaki. Miasteczko uważano za jeden z największych ośrodków przemysłowych w woj. białostockim, a szefowie kompanii w całym Wojsku Polskim chwalili sobie jakość wyrabianych tu mundurów. Kto więc miał zatrudnienie, chwalił sobie życie i nie narzekał, zwłaszcza, że za narzekanie można było z pracy wyliczyć, a w biednej, przeludnionej okolicy rąk bezrobotnych nie brakowało. Żyli zatem sobie ludzie, jak kto mógł, rozmawiali, jak kto umiał, i modlili się, jak komu z urodzenia przypisało. Miasteczko bowiem było czterona-rodowościowe, czterojęzyczne i czterowyznaniowe: mieszkali tu Polacy, Białorusini, Żydzi i Niemcy. Stały: kościół katolicki, wielka cerkiew obronna i mała cerkiewka, synagoga i kircha.

Wojna przyniosła tu te same tragedie co wszędzie: hitlerowcy wymordowali prawie wszystkich Żydów, wielu Polaków i Białorusinów. Zburzyli synagogę. Uciekając przed Armią Czerwoną wysadzili w powietrze cudo architektury: starą zabytkową cerkiew obronną z początków XVI wieku. I zburzyli trzy fabryki włókiennicze — podstawę egzystencji miejscowej ludności. A po wojnie już tych fabryczek nie odbudowano. Supraśl leży zbyt daleko od linii kolejowej, by lokować tu przemysł, poza tym zaś powstawały właśnie wielkie zakłady włókiennicze w Fastach i w Zambrowie. Jedyną ocalałą fabryczkę przejęło Województwo Przedsiębiorstwo Usług, instalując tam kilka warsztatów tkackich i uruchamiając produkcję konfekcji, co daje zatrudnienie ponad 100 osobom. Tyleż ludzi pracuje w tartakach, ponad 50 osób w lasach państwowych, otaczających miasteczko ze wszystkich stron i łączących się z wielkimi kompleksami puszczańskimi. Trochę zatrudnienia dają administracja, szkolnictwo, handel i usługi. Największym pracodawcą jest spółdzielnia meblarska (ponad 200 osób), bazująca głównie na sprowadzanych z Suwałk płytach paździerzowych.

A w ogóle czy jest to miasto? Mamy jakieś wyobrażenie, jak powinno wyglądać miasteczko: rynek usytuowany centralnie, przy nim największe kamieniczki, ratusz, kościół, posterunek milicji, gospoda — a w bok rozchodzą się uliczki. Supraśl nie ma rynku i nie ma mieszczanich kamieniczek, nie ma ani kawałka ulicy o zwartej zabudowie. Obraz miasta tworzy kilka-kilka ulic, przy których stoją jednorodzinne domy, o dwuspadowych dachach, oddalone od siebie o kilka metrów, przeważnie drewniane. Zupełnie jak na wsi, nawet nie jak na przedmieściu, bo te domy stoją nie w głębi ogrodów, lecz jedną ścianą przy ulicy. I zupełnie nie jak na wsi, bo nie widać przy tym stodoł, obór i stajni; tylko drobna

część mieszkańców Supraśla zajmuje się rolnictwem.

Nie zwiększył się więc potencjał przemysłowy, obszarów rolnych nie przybyło, a wyż demograficzny uzupełnił wojenne straty miasteczka u ludzi. A jednak grymaszą przy wyborze pracy, targują się, zmieniają miejsca zatrudnienia... Zmienił się bowiem całkowicie charakter miejscowości. Z samodzielnego ośrodka przemysłowego Supraśl stał się miastem-sypialnią. Do Białegostoku jest stąd 17 km. Przed wojną było aż 17 km, teraz jest tylko 17 km. Od 5 rano do 11 w nocy, co pół godziny (a w porach największego nasilenia ruchu częściej) kursują na tej trasie autobusy PKS. Bilet normalny kosztuje 5 zł, bilet miesięczny osiemdziesiąt kilka. Ponad 500 mieszkańców Supraśla dojeżdża do pracy w Białymstoku. Tam kształcą się supraślańska młodzież. W rezultacie więc Supraśl ma wprawdzie i kłopoty z powodu niemożności zatrudnienia pewnej liczby kobiet, lecz w ogóle to ma kłopoty z powodu braku siły roboczej. Spółdzielnia meblarska nosi się z zamiarem otwarcia nowego oddziału. Skąd jednak weźmie załogę, skoro na miejscowych nie można liczyć? Obecnie kilkadziesiąt osób z Białegostoku dojeżdża codziennie do pracy w Supraślu i kilkadziesiąt osób do tutejszych szkół. Supraślancie zaś jeżdżą do Białegostoku nie tylko do pracy, ale i po zakupy, do kina, teatru, nawet do kawiarni. Stał się zatem Supraśl jakby dzielnicą Białegostoku. Najbardziej oddaloną od śródmieścia, jednak ściśle z nim związana. W dodatku dzielnicą chyba najpiękniejszą.

Jest jeszcze zimno, drzewa w przydomowych ogródkach nagie, błoto na ulicach, a mimo to zachwyca się Supraślanem. Ta jego zabudowa tworzy zupełnie oryginalny obraz. W dodatku domki są zadbane, pomalowane farbami ochronnymi, nie widać dziurawych dachów czy rozpadających się okiennic. Może dlatego, że drzewa tu chyba nie brakuje (na podwórkach co rusz widzi się sągiew świateł tarcicy), a może też do prostu jest to rezultat i gospodarności, i pewnego dostatku. Powietrze czyste, przyjemne. No i — o czym dotychczas nie wspominałem — miasto Supraśl leży nad rzeką Supraśl. Rzeka dzika, malownicza, zasobną w czystą wodę, wpadająca za Białymstokiem do Narwi. Rzeka i lasy ściągają do tego spokojnego miasteczka turystów. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni zjeżdżają tu wycieczki niedzielne, rybacy, myśliwi i amatorzy grzybów. Latem przyjeżdża tu wiele kolonii letnich, obozów i grup wczasowych. Z Białegostoku, Warszawy, Łodzi, nawet ze Śląska. Niekiedy przybywają też kilkakrotnie więcej niż miejscowych. Ci miejscowi patrzyli na to z mieszanymi uczuciami. Wiedza, że wszędzie na świecie takie walory uważane są za dojrą krowę, za czarodziejską kurę znoszącą złote jajka, za czynnik przyczyniający się do wzrostu dobrobytu ludności i rozwoju miejscowości. Tylko, że w przypadku Supraśla ta kura nie bardzo chce znosić jajka. Turysty ogolając sklepy z artykułami spożywczymi, a miejscowy handel nie jest przygotowany do podawania swych wyśilków przez dwa miesiące w roku. Kto ma wygodne, duże mieszkanie, wynajmuje pokoje letnikom, co zawsze przynosił ładny grosz. Kto nie ma takich możliwości, narzeka, że w lipcu i sierpniu trudno w piekarni kupić choćby kawałek zwykłego zakała. Rolników w Supraślu jest niewielu, więc niewielu też ludzi jest zainteresowanych w sprzedawaniu wczasowcom drobiu, nabiału, warzyw i jarzyn.

Supraślancie zdają sobie sprawę, że ten pęd nad ich rzekę i do ich lasów popycha jakoś naprzód miasto. W bieżącym roku Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych w Białymstoku przystąpił do budowania w Supraślu ośrodka wypoczynkowego. Koszt inwestycji wyniesie 6 mln złotych. Może przy ośrodku będą jakieś sklepy? Może restauracja, która odciążałaby miejscową „Jazębinę”? Może kawiarnia, tak bardzo tu potrzebna, gdyż jedyny obecnie klub „Ruchu” nie należy do placówek dostatecznie dużych i dostatecznie wyposażonych, nawet na lokalne warunki. A może nie będzie nic, tylko sypialnie i ta nowa masa wczasowców dodatkowo obciąża i latniejące placówki handlowe i usługowe?

Aktualnie więc jest Supraśl jakby kolonią Białegostoku. Dzielnicą — sypialnią i dzielnicą — szkołą.

Dla wyjaśnienia tego ostatniego: oprócz szkoły podstawowej są tu jeszcze dwie średnie. Technikum Mechanizacji Rolnictwa zajmuje dawny klasztor prawosławny i dawny pałac Zacherta (b. właściciela połowy okolicznych lasów). 400 uczniów (sami chłopcy) prawie w całości mieszka w przyszłolnym internacie, też mieszczącym się w klasztorze. Budynek poklasztorny jest olbrzymi, choć niezupełnie odpowiadający potrzebom szkoły. Zabytkowa kaplica wewnątrz budynku i zabytkowa brama, obie obecnie odrestaurowane, staną się w najbliższym czasie dodatkową atrakcją miasteczka. W dawnej kaplicy umieszczone będzie muzeum miejskie, nad którym opiekę obejmie szkolne koło historyków prowadzone przez pana Józefa Zyskowskiego. „Nasi absolwenci idą do pracy w państwowych gospodarstwach rolnych, w spółdzielniach produkcyjnych, w ośrodkach maszynowych, czyli w instytucjach posiadających wiele zabytkowych budowl — mówi mi dyrektor technikum p. Jan Zebrowski. — Chcemy wpoić im nie tylko wiedzę fachową, ale i zamiłowanie do przeszłości, do pomników architektury. Na pewno będą mieli jakiś wpływ na to, by nie niszczyli”. Liceum Plastyczne, jedyne w województwie, specjalizujące się w tkactwie artystycznym, kształci 190 osób, z czego 70 proc. to dziewczęta. Szkoła i internat zajmują secesyjny pałac Bucholców i przypalacową koniusznicę.

W którym kierunku zatem ma iść Supraśl? Stać się w pełni miastem — sypialnią i miastem — szkołą, miastem — kolonią Białego-

stoku, miastem — wczasowiskiem, czy też samodzielnym organizmem budującym i rozbudowującym wszystkie zakłady i urządzenia, jakie powinien posiadać każdy organizm miejski?

— Za nic bym nie chciał mieszkać gdzie indziej. Tu mam urok wsi i miasta jednocześnie. Spokój i cisza. Latem budzą mnie w nocy po kilka razy, gdy ktoś zachoruje na kolonii i potrzebny jest lek. Mam jednak wyznaczoną już działkę pod budowę dużej apteki, znajdzie się w niej i mieszkanie dla farmaceuty (obecnie druga koleżanka dojeżdża do nas do pracy z Białegostoku), są pieniądze, jeśli więc znajdą się i limity, pobudujemy się i wtedy przynajmniej co drugą noc będę miał dla siebie — mówi mgr Janusz Twarowski kierownik apteki. Pan Twarowski razem z małżonką zajmuje piękne, trypokolowe mieszkanie nad nowo wzniesionym ośrodkiem zdrowia. Pani Elwira Twarowska, lekarz stomatolog, przeżywa podobne dokuczalności co ma: jest jedynym lekarzem stomatologiem w mieście i też nieraz ją budzą, gdy kogoś w środku nocy rozboli ząb. Lecz też twierdzi, że nie opuściłaby Supraśla.

— Dobrze się tu czuję, w szkole jest pracownia, jednak to nie to, co Białystok. Tu mam dziesiątki kłopotów, choćby z wysłaniem prac swoich czy żony na wystawę, bo jak transportować? Autobusem? — zadaje mi retoryczne pytanie pan Wiesław Jurkowski, absolwent liceum plastycznego, który po studiach malarskich w Gdańsku osiadł wraz z żoną Barbarą (rzeźbiarką) w Supraślu, gdzie oboje wykładają w liceum.

— Najlepiej byłoby mieć i przemysł i ściągać do siebie turystów — wypowiada się ojciec Aleksy Mularczyk, który od 40 lat jest głową miejscowej gminy prawosławnej.

— Chcielibyśmy zrobić z Supraśla miasto z prawdziwego zdarzenia. Cóż, nasi współobywatele mają gust prowincjonalny i nie możemy ich nakłonić, by w domkach jednorodzinnych, które budują, robili płaskie dachy, a nie dwuspadowe — mówi pan Aleksander Wiszniewski, przewodniczący Prez. MRN. Biura Prezydium mieszczą się również w drewnianym, parterowym pawilonie. — Jeśli trudno nam ze swoimi, to nie dziwne, że od tyłu lat nie możemy dobić się, by władze wojewódzkie dały nam zezwo-

lenie i fundusze na przebudowę wnętrza starej kirchy na salę gimnastyczną. Kircha jest bez opieki, w mieście nie ma protestantów, więc budynek niszczeje i jak tak dalej pójdzie, zamieni się w gruz. A sala sportowa tak jest nam potrzebna.

Mam inne zdanie niż przewodniczący, mówię mu, że jednakowych pudełek z płaskimi dachami jest w Polsce bez liku, więc dlaczego nie zachować w Supraślu jedynolitości? Na skraju miasta wzniesiono kilka lat temu czteropiętrowy budynek mieszkalny, w roku 1969 stanie drugi taki. Te akcenty pionowe zupełnie nie komponują się z całością.

Pan Józef Wojtulewski, dyrektor Liceum Plastycznego, choć mieszka w Białymstoku jest działaczem Towarzystwa Przyjaciół Supraśla.

— Chyba nie bardzo dadzą się pogodzić koncepcje rozbudowy na większą skalę przemysłu w mieście i rozwoju bazy wypoczynkowej. Przemysł zawsze szpeci krajobraz. Co jest jednak lepsze dla mieszkańców? Brak kolei nie ma już wpływu na lokalizację przemysłu, tak jak zaraz po wojnie, bo dziś w wielu wypadkach tańsza jest komunikacja samochodowa. Przed wojną drzewo z tartaków w Supraślu spławiano rzeką, dziś zaniechano tego na korzyść transportu samochodowego. Czy supraślancie mają stałe dojeżdżać do pracy w Białymstoku, czy też należy zapewnić im ją na miejscu? A może rozwój komunikacji samochodowej zlikwiduje niedogodność tych dojazdów? A może rozwój automobilizmu sprawi, że Supraśl utraci swą atrakcyjność turystyczną na rzecz ośrodków dalszych od Białegostoku, lecz mniej „cywilizowanych”? Właściwie dopóki uczeni nie dadzą prognoz w sprawach ogólnych, możemy tylko zgadywać.

Wątpliwość dyrektora Wojtulewskiego można by przyłożyć nie tylko do Supraśla, ale i wielu innych miasteczek leżących w pobliżu stolic województw. Nie mamy jeszcze wyraźnej opinii ekonomistów, urbanistów, demografów i uczonych innych specjalności, czy miasteczka te mają rozwijać się samodzielnie, czy też stawać się suburbiami metropolii wojewódzkich, a jeśli tak to jakimi?

— Dziwne teraz czasy, panie — mówi mi pan K. — I dziewczyny jakieś takie, kuso się noszą, ho, ho, że aż człowiek dostaje zadyszki.

Wesoły Olimp

Maria Bechcyc-Rudnicka

URBI et orbi już wieściła prasa, że obchodziliśmy w marcu pogodnie święto: XX-lecie lubelskiego Teatru Państwowego w Lublinie. Tedy nie pozostaje mi nic innego, jak wyrzekając się znużonych retrospekcji historycznych, dorzucić do kwiatów, którymi usłano scenę w dniu Jubileuszu, mój skromny bukietik renesanski, przeznaczony dla spektaklu jubileuszowego.

Przed wszystkim — pogratulować pozycji repertuarowej! Od dość dawna już było moim głośnym marzeniem, by Operetka lubelska wystawiła „Orfeusza w piekle”. Marzenie to zrealizowało się w Lublinie, o dziwo! — wówczas, gdy ogół polskich teatrów muzycznych zdradza raczej dągnięcie do wystawiania współczesnych musicali amerykańskich, przeważnie dość tandetnych, powiedzmy to sobie w końcu. I skąd się, właściwie, bierze ten dyrekcyjny pęd na oślep? Może stąd, że uzasadniona trudność uzyskania dewiz daje tym, co je uzyskali, iluzję jakiegoś wielkiego osiągnięcia? A może pochodzi owa tendencja z ustawicznych nawoływań do „współczesności”?

Otóż współczesność jest niewątpliwie rzeczą w teatrze nieodzowną, kłóż zaprzecz? Bez niej teatr cierpi na uwiad starczy. Tylko że współczesność współczesności nierówna. Nie wolno „uwspółcześniać” teatru muzycznego kosztem dobrej muzyki, a tak się niestety nieraz dzisiaj dzieje, czy to w wypadku musicali zagranicznych, czy to — przepraszam za szczerość — produkcji rodzimych. Zgódźmy się przecie, że będąc z natury swym teatrem relaksowym, operetka ma tak naprawdę jedno jedyne zadanie wychowawcze: umuzykalnienie swego widza, widza, jak to się mówi, masowego. Na miłość boską, przestańmy wreszcie „umuzykalniać” go tandetą.

Dość jednak gderania. Aby nie tworzyć sytuacji paradoksalnej w aurze jubileuszu, przechodzę już bezpośrednio do apologii dzieła Offenbacha i pochwały przedstawienia Operetki lubelskiej.

O drodze twórczej fortunnego dziecka kantora kolońskiego informuje lubelska publiczność operetkową popularny artykuł w programie, dodajmy tylko, że muzyka

„Orfeusza w piekle”, skomponowana w r. 1858, skupia najlepsze zalety stylu pomazańca Apollinowego, jakim był arcydowcipny satyryk Jakub Offenbach. A więc setki krytyków cywilizowanego świata na przestrzeni przeszło stulecia wynosiło pod niebiosa przy okazji inscenizacji „Orfeusza” zarówno inwencję melodyjną kompozytora, jak żywe rytmy i bogactwo form tanecznych ze sławnym kankanem na czele. W lirycie Offenbacha znajdowano coś z Mozarta (wole dziś napomknąć o Rossinim mając na względzie pokrewieństwo dowcipu). Oparty na librecie nielichych majstrów dramaturgicznych, „Orfeusz”, ta przekorna parodia poetyckiego mitu antycznego, szampańska bufonada, będąca bezpardonna satyrą na high life drugiego cesarstwa, tak zaszokowała, a zarazem zafascynowała paryskich poddanych „Napoleona małego”, że tłumnie latali oglądać owe zachwale naonczas obscena. Wyobrażam sobie „Orfeusza” w paryskiej inscenizacji, był w niej czar z wizji Toulouse-Lautreca.

Czy można ręczyć głową, że zabieg modernizacyjny Janusza Minkiewicza okrył libretto zręcznych Francuzów nowym blaskiem? Wątpię. Wprawdzie aktorzy lubelscy, nasi kochani Jubilaci, nie bardzo się kwapili kłaść nam w uszy dowcipy tekstu, ale i te, co przelatywały nad rampą, nie były kategorii S. Zaledwie coś niecoś z tej współczesności „chwytano” (zawsze to Minkiewicz!).

Nie podejmuję się też osądzić, ile zawdzięcza Offenbach opracowaniu muzycznemu Józefa Talarczyka — niech wypowiadają się śmiało i parają się krytyka muzyczna. Dość, że chóry, przygotowane przez Tadeusza Chyłę, i orkiestra, pod batutą autora opracowania, nie budziły we mnie żadnych zastrzeżeń (może tylko odrobinę za sentymentalnie brzmiały passusy liryczne w uwerturze — zresztą rzecz to gustu i fachowego rozeznania).

W każdym bądź razie całość spektaklu (inscenizacja i reżyseria Józefa Grubowskiego) jest bardzo atrakcyjna. Tempo, żywe na miarę tematu, słabnie tylko w dwóch-trzech miejscach, poza scenami zbiorowymi — w dialogach prowadzonych parami. No i sen bogów na Olimpie był nieco zaradliwy.

Ogromnie się może podobać scenografia Bolesława Kamykowskiego, stylizująca dowcipnie, świadomie na operetkowo, niebo i piekło. Można by się w niej dopatrzeć jakby nawiązania do ducha nuryorszostwa z epoki napoleonidów.

Premierowa obsada — dobrana pieczołowicie: Eurydyka — Alicja Hortyńska, Orfeusz — Jerzy Molenda, Pluton — Marian Josicz, Franciszek Los — Jan Krzysiak, Jowisz — Henryk Labuński, Junona — Nela Zdzieszyska, Charon — Tadeusz Rosowiecki, Wenus — Wanda Mikulska, Diana — Aura Szymanowska, Kupido — Irena Chodziakiewicz, Minerwa — Zofia Bronikowska-Krajewska, Merkury — Dariusz Smigielski, Morfeusz — Jerzy Ambroziak, Mars — Władysław Zydlik-Mirowicz, Hebe — Ludwina Nowicka. Tak, cały ten zastęp bogów i półbogów, przewodzący śmiertelnikom, był w świetnej, iście jubileuszowej formie.

Co o postaciach pierwszoplanowych. A więc w tłumie olimpijskich zagubili się trochę Jerzy Molenda, a p. Alicji Hortyńskiej można by zarzucić nadużywanie forte, lecz cóż to za usterka wobec wspaniałego sopranu dramatycznego, nadającego się nawet do oper wagnerowskich? Bardziej może odpowiada warunkom operetki Offenbacha głos Aury Szymanowskiej, którego główną zaletą jest piękny, miękki timbre. Niestety jednak p. Szymanowska otrzymała w „Orfeuszu” niewielki przydział wokalny.

Na pierwszy plan wysunęła się niespodziewanie rola Kupida dzięki czarującej lotności Ireny Chodziakiewicz — bravo i za gre, i za śpiew. Josicz (Aryteusz — Pluton), zawsze swobodny i interesujący, trochę się tym razem zapatrzył w operowego Mefistofelesa, co mu zresztą zbytnio nie zaszkodziło. Labuńskiego wole w postaci Jowisza — muchy niż jako gromowładcę w cylindrze. Wreszcie dodajmy, że Charon Rosowieckiego znalazł drogę do serca widzów spragnionych śmiechu.

Produkcji baletowych nieco poskąpiono. Furorę zrobił oczywiście niezawodny kankan, choć za mała jest na ten szal scena Operetki lubelskiej. Wspominając o baletcie należy zwrócić uwagę na znakomitą formę solisty Zbigniewa Dobkiewicza.

Tyle moja pobieżna ocena. Proszę wybaczyć, że w bukietiku recenzentkim znalazło się parę kankoli, ale bez tego byłoby zbyt świętecznie.

Nazajutrz po głównej uroczystości urządzono drugi popis jubileuszowy: recital piosenki, z którym wystąpiła Xenia Grey. Nie potrzebuję

(Dokończenie na str. 11)

O BOK niechęci do poezji współczesnej istnieje niewątpliwie pragnienie jej zrozumienia. Wzruszenie ramion na to zjawisko i przyglądanie mu się z uwagą — to dwie krańcowe reakcje. Potrzeba wyjścia naprzeciw poezji współczesnej wyraża się w zapotrzebowaniu na różne komentarze i egzegzy. Takie książki M. R. Mayenowej „O sztuce czytania wierszy” czy L. Paszczołowskiej „Dlaczego wierszem” znikają szybko z księgarń, co dowodzi wielkiego głodu czytelniczego w tej dziedzinie. Również naukowcy i krytycy zdają sobie sprawę z potrzeb w tej dziedzinie, czego dowodem dwie publikacje ostatnich lat: „Liryka polska. Interpretacje” pod red. J. Prokopa i J. Sławińskiego oraz „Czytamy utwory współczesne. Analizy” T. Kostkiewiczowej, A. Okopień-Sławińskiej i J. Sławińskiego. Fakty te zaprzeczają zdaniu Schopenhauera, iż niemożliwe jest przeżywanie poezji połączone z łamaniem sobie głowy. W powiedzeniu filozofa odbiór poezji łączy się raczej z uczuciowością niż z intelektem. Jest sprawą przeżycia a nie poznania.

Przed maturą

W poszukiwaniu klucza

Tadeusz Kłak

międzysłowia i powoduje nowe, nieoczekiwane zderzenia słów. Stanowi to niewątpliwą komplikację i utrudnienie dla czytelnika, ale równocześnie wzbogaca możliwości interpretacyjne.

Niekiedy odrzucenie interpunkcji jest koniecznością, zwłaszcza w tego typu utworach, gdzie zasadniczą rolę odgrywa muzykalność. Jakże można kawałkować i dzielić przecinkami wiersz Czechowicza „przez kresy”:

*nic nie ma nawet snu tylko kół
skrzyp
mgława noc jawa rozlewna
wołam kołacz złoty
wołam kół dołem polem kołacz
złoty*

Czytelnik jakiegokolwiek okazu poetyckiego zmuszony jest do odkrycia zasady, na jakiej jest on zbudowany. Powinien zdawać sobie sprawę z mechanizmów poetyckich i konwencji w utworze zastosowanych. Nie można twierdzić, by w każdym wypadku było to konieczne, ale nie ulega wątpliwości, iż znajomość techniki, zastosowanej w wierszu, pozwala na owocniejsze z nim obcowanie. Aby na przykład właściwie pojąć wiersz symbolisty, trzeba zdawać sobie sprawę z dwuplanowości przedstawionego świata: widzialnego i niewidzialnego. Pierwszy jest realny, drugi idealny. Rzeczy widzialne stanowią znaki kryjących się za nimi tajemnic. A więc utwór stanowi szczyf, system aluzji i napomnień, które trzeba rozwiązywać. Poetyka symbolizmu żyje jeszcze w liryce Czechowicza, u którego — według słów poety — wizja wspiera się na widzialnym, ale wyraża niewidzialne. Jeśli napisze on: „kosaciec powiewa dłońią to ty dajesz znaki persefona” to wiadomo, że kosaciec nie jest tu tylko rośliną, ale ważne staje się to, że symbolizuje on mityczną postać związaną z królestwem śmierci. Tym bardziej, że w nazwie rośliny zawarte jest także słowo kosa — rekwizyt śmierci, a w ludowych wierzeniach kosaciec związany jest również ze śmiercią.

Podobnie poezji futurystów nie pojmie się właściwie bez znajomości teorii słów na wolności i całości ich założeń programowych. Przecież buntownicze i burzycielskie nastawienie wobec tradycji i przeszłości wyrażało się w rozluźnieniu rygorów składniowych i w prowokacji językowej, w zbrutalizowanym słownictwie. Stąd też agresywne zachowanie się podmiotu lirycznego. Wiersz Młodożeńca pt. „Moskwa” zbudowany z kombinacji dźwięków:

*tu-m czy-m ta-m?
tam-tam TAM - TU-M - -
tam tam TAM tam-tam-tam TAM*

pozostanie dziwaństwem, dopóki nie nabierze pełnego znaczenia i blasku jeśli tytuł wiersza skojarzy się z dzwonami Kremla. To samo dotyczy wierszy i poematów Tadeusza Peiperera. Zdania:

*Ten hymn z jedwabiu ponad
okrucieństwem z cukru;
ta wstęga, która wykwita
z miękkich liści trzciniaka
(Noga)*

A przecież mówiłem tak jasno,
że z każdej gruszki mógłby
buchać ogień;
(Ze)

pozostaną nieczytelne, dopóki nie wiemy o konstrukcji metafory Peipererowskiej, polegającej na łączeniu pojęć i słów maksymalnie oddalonych.

Inną trudnością, przed jaką staje czytelnik współczesnej poezji, jest jej zmetaforyzowanie i zgęszczenie wizji. Wynika to z wypracowanej przez awangardę zasady wyrażonej najlepiej w słowach Juliana Przybosią: „najmniej słów. Najmniej słów, ale za to zawierających maksimum znaczeń i aluzji. Poeta postępuje przy budowaniu wiersza jak konstruktor czy inżynier. Słowo stanowi budulec, z którego w sposób celowy, przemyślany i ekonomiczny musi zbudować utwór. Każde zdanie musi posiadać jednokowe napięcie poetyckie, słowa zbędne, nie obciążone znaczeniem, zostają odrzucone. Usunięciu podlegają spójniki, zaimki, przymiotniki, cała tzw. wata, która często wypchany był tradycyjny wiersz. Jeśli J. Brzękowski napisze: „ostraczym snów pomalowanych na kolor czerwony, kolor wielkości” — to ma na myśli sny, których sobie nie życzył, były one podane ostracyzmowi, a więc wygnaniu i skazaniu na banicję, podobnie jak skazywano w Grecji ludzi wielkich na wygnanie sądem skorupkowym. Czerwień — kolor wielkości — sugeruje, że chodzi istotnie o wielkie marzenia; godne uwagi jest słowo ostracyzm, które kojarzy się z ostrym sądem, a więc niesprawiedliwym.

Przykład ten napomyka o bardzo ważnym znamieniu nowej poezji, która staje się poprzez elipsę i zgęszczenie wieloznaczna, wyzyskuje wszelkie możliwości skojarzeniowe słowa. Tak na przykład u Przybosią w zdaniu: „czas pełnie w błękitie naszych oczu” słowo „pełnie” mówi o powolnym upływniu czasu, a równocześnie o wyblakłych oczach. Czy słowo „pełnie”, które oznacza przybywanie, gęstnienie lasu, a równocześnie pienie się zieleni, zaś „drzewiej” — dotyczy drzew, ale łączy się też ze słowem dawniej, a więc napomyka o drzewach starych.

Te zasady obowiązują częściowo i w poezji najnowszej. Oto przykład elipsy w wierszu Edwarda Stachury:

*W ogrodzie nocą chochoł to król
a narzeczona jego magiczna
o łaskę króla ją pielęgnować*

gdzie usunięto prawdopodobnie takie słowa jak: jest, prosi, by. Usunięcie ich nadaje wierszowi znamieństwo nieoczywistości i archaizmu, co jest

zrozumiałe przy stylizacji utworów Stachury na ballady trubadura.

W tekście współczesnego poety nie jest obojętny żaden szczegół. Wiersz Wisławy Szymborskiej „Na wieży Babel” tłumaczy się całkowicie po zupełnym zrozumieniu, z czym kojarzy się wieża Babel z biblii. W tym świetle dopiero rozwijające się wypowiedzi dwójga niegdyś bliskich ludzi zyskują swoje właściwe znaczenie. Mówią o niemożliwości porozumienia między

ro poetyckiej funkcji brzydoty, o równouprawnieniu w poezji wszystkich elementów rzeczywistości. W sposób programowy reprezentuje tę postawę właśnie Grochowiak. Jest to zresztą późniejsza faza szerzej tendencji, która polega na wykorzystaniu mowy potocznej w funkcji poetyckiej.

Najdalej w realizacji tego wzorca poezji poszedł Tadeusz Różewicz, choćby w takich utworach jak „Zaraz skoczę szefie”. Andrzej Bursa z podobnego materiału zbudował wiersz „Pedagogika”, na inny sposób ironiczny niż „Lekcja” Szymborskiej:

*Z dziećmi trzeba surowo
Zamiast piąszcza łach
ubierz łach
zapnij łach
szanuj łach*

Trudno o lepszy sposób kompromisacji tego rodzaju pedagogiki niż przedstawienie jej dosłownie, w czystym stanie.

jednym człowiekiem a drugim w pewnych sytuacjach. Albo „Lekcja” tej samej autorki:

*Kto co Król Aleksander
kim czym mieczem
przecina kogo co gordyjski węzeł
Nie przyszło to do głowy
komu czemu nikomu*

To nie żart poetycki. Podstawienie pod pytania odmiany rzeczownika konkretnych odpowiedzi stanowi chwyt znakomity. Ale poetaka zadaje czytelnikowi sporo roboty. Musi on wiedzieć, kto to król Aleksander, co to węzeł gordyjski. Przeciwnie króla, rozcinającego pewnie węzeł, którego stu filozofów nie mogło rozwiązać, stanowi sens tej lekcji. Śmiech żołdactwa z bezsilności filozofów, triumf siły nad umysłem — oto jedna z nauk historii. A więc „lekcja” oznacza tu zwykle szkolne zajęcia, a także — i przede wszystkim — ironiczną lekcję historii.

Teksty Szymborskiej świadczą, jak bardzo poezja współczesna jest osadzona w tradycji, jak często odwołuje się do uniwersalnych doświadczeń człowieka, uciekając się do sytuacji i obrazów znanych, które służą nowym potrzebom po odpowiednim przekształceniu. Podobnie dzieje się w poezji T. Różewicza, Z. Herberta, T. Nowaka, J. M. Rymkiewicza, a zwłaszcza Stanisława Grochowiaka. A. Okopień-Sławińska na przykładzie jego „Kolejdy” pokazała, jak znakomicie wykorzystał poeta motyw szopki do wprowadzenia ostatnich, okrutnych doświadczeń wojennych:

*Schodzą powoli — tak złażą się,
rzeklibyś —
Jedni oliwą po białka schłapani,
Inni z wielkimi krzywymi
kciukami,
Wszyscy dziurawi jak grzyby lub
rzeźby.
(...) Króle na końcu. Król w gazowym
pysku,
Drugi ma gipsem złutowane
szczęki,
Trzeci jest jasny, jest nieomal
piękny
W ostrej koronie z żelaznych
odprysków.*

„Złażenie” dalekie jest od radosnego „przybywania” pasterzy z kowłami, których tu zastępują baby, wdowy, platne panienki, ze zwierząt koza i kruk. „Kolejda” Grochowiaka zespala motywy religijnego misterium z wizją wojennej martyrologii, wykorzystując twórczo wszystkie wynikające stąd zgrzyty i dysonanse.

W poprzednim artykule — „Drapak zamiast róży” — pisałem spo-

język potoczny i rozmaite zbitki słowne czy myślowe są ulubionym materiałem poetów słowiarzy (określenie Przybosią), poezji nazywanej lingwistyczną czy językoznawczą. W tego rodzaju materiale pracuje Miron Białoszewski i Tymoteusz Karpowicz. Tom „Trudny las” Karpowicza dostarcza wiele znakomych przykładów, jak odkrywczo można patrzeć na świat, ile tworzyć nowych definicji przedmiotów czy elementów rzeczywistości. W niewielkiej części w technice Karpowicza może zorientować krótki wiersz „Rzeka”:

*jedyna szyja
żyjąca bez głowy
i to o wodzie
uważa na zakrętach
aby się nie minąć
sama z sobą*

Oczywiście — samo przepisanie tekstu wiersza nie zatłumaczy sprawy, zaledwie ją zaczyna. Trzeba by niejako tłumaczyć słowo po słowie, zdanie po zdaniu, wyłuskiwać wszystkie wartości semantyczne, odsłaniać poetyckie mechanizmy. W wspomnianych na początku tego szkicu opracowaniach pojedyncze wiersze są analizowane na kilkunastu stronach druku każdy. Tu można najwyżej zasymulować niezwykle szeroką i bogatą problematykę związaną z poszukiwaniem kluczy do współczesnej poezji.

Sprawa może najtrudniejsza, to postępująca coraz bardziej autonomia poezji, specjalizacja jej języka i narzędzi. Odpowiada to specjaliacji i przemianom w całej humanistyce, ale zwykłego czytelnika zostawia coraz bardziej w tyle. Istnieje obawa, że będzie mu coraz trudniej dotrzymać kroku rozwojowi poezji. Stanie się to tym trudniejsze, że ambicje poezji wzrastają. Nawraca ona do początków, będąc w dzisiejszej sytuacji jednym ze sposobów integracji świata i scalania ludzkich doświadczeń. Śiega po uprawnień filozofii i ścisłej nauki. W sposób kompetentny pisał o tym Z. Bieńkowski na marginesie poezji J. Supervielle'a:

„Duch specjalizacji rozszerza swoje królestwo. Dnoznanie, przeżycie utworu poetyckiego jest coraz bardziej specjalistyczne, nie tylko dlatego, że wymaga opanowania wiedzy i techniki wyobraźni (...). Poezja nowoczesna, tak jak filozofia, jak w sztuce, co chce nadać za przeobrażeniem się świata — zerwała z amatorszczyzną. Klerk nowoczesny włożył kitel laboranta. Metafora poetycka przylega ściśle do konkretnej rzeczy”.

Czy jednak czytelnik współczesnej poezji zechce to przyjąć do wiadomości? Gdyby się tak nie stało, trzeba by szukać poclechy w słowach Norwida:

*Syn — minie pismo, lecz ty
spomnisz, wnuku (...)*

MIESZKANIE

(Dokończenie ze str. 9)

której siedziała mamusia, zastępną w swojej wyniosłej pozycji. Oto tapczan Henia. Oto krzesło ze złamaną nóżką. A w kącie fotel, na którym Antos odbywał swoje wymagane podróże — do Krakowa, do Warszawy; kiedyś przystawiał fotel do drzwi, odsunął rygiel i wyruszył w podróż tak daleką, że nigdy już z niej nie powróci.

Rygiel z biegiem lat odsuwa się coraz ciężej. Może zardzewiał, a może to ręce są coraz słabsze. Dalej są wygodne, szerokie schody, okno, stare drzewa i zachodzące słońce. Czy to tu kończy się mieszkanie? Dalej jest ulica, przystanek tramwajowy, skąd widać

przejeżdżające pociągi; potem jest dobre znajoma droga tramwajem, a u kresu tej drogi jest kilka grobów — przybywało ich w ciągu lat, wszyscy już tu są, zakończyli swoje podróże i nic więcej się tu nie zmieni. W powrotnej drodze z daleka już widać oświetlone okna — to Karol i Maria zapalili światło. Karol i Maria cieszą się, że mają swój kąt, przytulny i wygodny; niedawno się pobrali, nie mają własnych mebli, wprowadzili się z dwiema walizkami. Wszystko zostawił po staremu, nieprawda, że chcą sprzedać mieszkanie i dlatego nie w nim nie zmieniają. Kłamię ta stara, złośliwa baba z sąsiedniego łóżka, „wyżarta baba”, tak mówiła o niej inne, to znaczy, że obżerała się przez całe życie i dlatego jest teraz taka gruba i niedołężna. Kto ją wie, jak to było z tym obżeraniem; ma dzieci dorosłe, dobrze im się powodzi, a jednak oddali ją tutaj; pewno, póki była u nich, nie dali się jej za

nadto obżerać, takie samoluby. A przedtem była zwykłą robotnicą, pracowała w tej samej fabryce, dziwne, że się nigdy nie spotkały — a może się i spotkały, tylko nie wiedzą o tym, przecież to było tak dawno.

Widać stąd te oświetlone okna, teraz można już z całą pewnością powiedzieć, że na tych oknach kończy się mieszkanie. Ani na ulicy, ani na schodach, po których bez zbytecznego utrudzenia wspinają się stare nogi, dopóki jedna z nich nie zawiodła i nie poknęła się na ostatnim stopniu.

W tym wieku złamanie już się tak łatwo nie zrasta, wszyscy o tym wiedzą; niepotrzebnie Karol i Maria pocieszają, gdy przychodzi w niedzielę z wizytą. Przynoszą pomarańcze i czekoladę, zapewniają, że noga się wygoi, mają za złe, kiedy się uśmiecha i potrząsa głową. Nie nie rozumieją. To lepiej, że nie rozumieją, bo na wszystko musi przyjeść właściwy czas. Najpierw życie musi nas porządnie poturbować z wszystkich stron, długiego życia na to trzeba, aby nie było już na człowieku żadnego wolnego miejsca. Jestem cała poobijana, jak jajko na twardo, popękana cała ta skorupka, która kiedyś wydawała mi się najwzajemniejsza. Skorupka spada i pod spodem ukazuje się gładka, biała powierzchnia. Oni dopiero oczekują na pierwsze ciosy, boją się ich, dlatego tak rzadko tu przychodzą; przeraża ich mój

widok: takiej poobijanej ze wszystkich stron i — jak im się wydaje — odartej ze wszystkiego. Nie widzą tej gładkiej, lśniącej powierzchni pod spękana skorupką. Nie umiem im wytłumaczyć, jak to jest z tymi ciosami, z tym piekłem na ziemi i z tą skorupką, która musi być dokładnie, we wszystkich miejscach obtłuczona, żeby mogła odpisać i żeby została ta lśniąca, gładka biel, która jest pod spodem. A może to tylko do mnie się stosuje, a ktoś inny musi do tego dochodzić całkiem innymi drogami? Tak, pewnie tak z tym jest. Każdy ma życie na swoją miarę. Miałam życie akurat na moją miarę. Tego nikomu nie da się wytłumaczyć, bo samemu rozumie się to dopiero wtedy, gdy ze wszystkiego pozostają tylko dwa oświetlone okna, które widać z daleka, gdy zapada noc.

I nie nie szkodzi, że są to całkiem inne okna, obce, bo przecież tamte, prawdziwe są za daleko, aby można je było stać zobaczyć. To nieważne. Wieczorem wystarczy popatrzyć przez chwilę na te dwie jasne plamki, zagubione w masywie murów dalekiego miasta. Wystarczy potem zamknąć oczy i już otwierają się drzwi: oto sianka ciemna, bo nie ma tu okna. Oto przedpokój. Oto stary płaszcz Henia w wieszaku. Oto drzwi do pokoju. Otworzymy te drzwi! Nie się tu nie zmieniło. Oto mieszkanie...

Ewa Dąbrowska

Z ŻYCIA WZIĘTE

„Świat”-owe maniere

KWIECIEŃ 1968 roku zapisał się w Polsce wieloma ważnymi wydarzeniami. Na pierwszym miejscu trzeba wymienić występy Jana Krenza i Konstantego Kulki w Teatrze Real w Madrycie...

można łatwo odnalazł pierwotny charakter parku: duże płaszczyste trawki, samotne stare drzewa i malowniczo zgrupowane krzewy. Po tym parku biegali dwadzieścia kilkanaście lat temu mali Polacy...

złotki ołówkowy Davida, odbity z książki Ormiana. Na żadnym portrecie „słodka Maria” nie jest tak piękna i sugestywna. Z miękkością, szarego tła wychyla się delikatny owal ledwie naszkicowany...

biem kombinatu hotelowo-gastro-nomicznego „Europejski”. Nie wiadomo, czy szeroka opinia publiczna poznałaby całą prawdę, gdyby nie sprytni wykazani przez reporterów...

CZŁOWIEK wynalazł maszynę, aby zastąpić nim niewolników. Jak zwykle to, co stworzył przetrwało jego oczekiwania. Tym bardziej, że człowiek stworzył maszynę na swoje podobieństwo...

Humanizm i stary człowiek należą już do przeszłości na całym świecie. Wszelkich miejscowości, stare miasto przetrwało tylko jako muzeum...

MINUTA MYŚLENIA

Gz, gz - marchewka

WŁAŚCIWOŚĆ niektórych naszych adherentów sprawia, że nigdy nie możemy być pewni przyjęcia zgłoszonych uwag. Jeśli czytelnik zechce pofatygować się pamięcią w czas sprzed paru tygodni...

właśnie kąciku „Kamień” ukazał się felleton traktujący o przeciętności komunikacyjnych. Wspomniałem o tym, że można było w interesie nas, pasażerów, ograniczyć ten nieobliczalny potok podróży...

Natomiast nie dopatrywał się braku konsekwencji w innym felietonie. Mianowicie w felietonie „Moje 3 grosze” zamieszczonym w 77-n-rze „Kurier Lubelskiego”...

tak przeciw czujnego na wszelkie „nielogiczności”. Widocznie jest on mniej czujny na rzeczywiste niekonsekwencje, i to nawet gdy niekonsekwencje do „nielogiczności” znajdują się znacznie bliżej.

Człowiek nie miał się już w człowieku, ale w tych wszystkich maszynach, które w nadzwyczajny sposób zwiększają jego możliwości. Co pozostało ze starego Adama?

Paul Guth (Le Figaro 9-10.III.1968)
Zi władca maszyn, człowiek nie może się mechanizować wzorem zwycięzców, którzy przyjmują obyczaje zwycięzcy...

FELIETON Z REZERWY

Dzienniki i schematy

JUZ od dawna zastanawiam się nad tym, czy sposób redagowania naszych dzienników terenowych jest najwłaściwszy. Czy nie nastąpił już czas, aby w środowisku dziennikarskim, a może i w szerszym gronie, rozporoznać na ten, na pewno istotny temat, dyskusję.

czy 21 radio. To samo czyni następnego dnia rano przed północą do pracy. Później kupuje gazetę i wzykiem tylko przesłizguje się po tytułach. Nic tu ze świata nie ma nowego, a zdarza się, że jest nawet mniej informacji...

„Trybuna Robotnicza”, „Głosem Saczańskim” i może „Głosem Robotniczym” — wymieniam tylko partyjne dzienniki wojewódzkie — trudno mówić o jakichś odrębnościach. Zadomowiła się sztampana i nikt mnie nie przekona, bo mam wiele własnych doświadczeń...

czy informację. To, co przekazał PAP — ewentualnie po koniecznych skrótach — od razu idzie na linotypy. Dodajmy, że praca redaktora depeszerowego nie zawsze jest właściwie oceniana przez kierownictwo poszczególnych redakcji.

JON
Kochani autorzy, nadsyłajcie utwory do „Kamień”: na miłość boską nie nadsyłajcie ob. Drózdka, bo w redakcji zwiariemy do szczeru.

JOD
W TELEWIZYJNYCH REFLEKSJACH ujrzelismy w drugi dzień świat wstrząsające obrazy: rozstrzelanie kobiet polskich przed hitlerowskiego okupanta. Zaraz potem na szklanym ekranie ukazała się szwajcarska piosenkarka z Festiwalu Sopockiego...

Odpowiedzi redakcji

A. Z. w Rzeszowie. Pana „mini-felietonu” nie wykorzystamy. O „Mażepie” pisaliśmy osobno, natomiast sprawa owego lekarza z Pogotowia Ratunkowego jest zbyt poważna, aby „zalatwiać” ją we frywolnej formie.

J. S. w Warszawie. Drogi Panie, zawsze informujemy lojalnie, że materiałów, których nie zamówiliśmy, nie zwracamy. Autorem nie trudno zachować kopie maszynopisu, my musimy mieć dodatkowy etat dla pracownika, który jedynie tym by się zajmował.

K. Z. w Kielcach. Dobrze, gdy lekarze „zarządzają się” poezją. Ale poeci, tak jak lekarze, dzielą się na złych, średnich, dobrych i najlepszych. Grafomani to gorzej niż felczerzy...

A. K. w Starachowicach. Zwraca się Pan o „korektę” swoich wierszy. Żadna redakcja nie dokonuje korekty wierszy! Oceniając to, co Pan nadesłał, musimy obiektywnie stwierdzić, że nie ma Pan się na razie czym chwalić.

MAJ
Zasygnalizowałem sprawę, której nie nurtuję. Chętnie posłuchałbym teraz innych głosów. W „Kamieniu” znajdziemy na nie miejsce nie tylko na ostatniej stronie.

MAJ
KONKURS
Baśń, legenda, podanie ludowe
Pod patronatem prof. dr Juliana Krzyżanowskiego — Stowarzyszenie Twórców Ludowych, Wydawnictwo Lubelskie, Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie, redakcja „Chłopki Drogie”, „Kamień” i „Tygodnika Kulturalnego” oraz Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie ogłaszają konkurs na baśń, legendę, lub podanie ludowe...